

de egz.

Wydawnictwo...

POEZYE

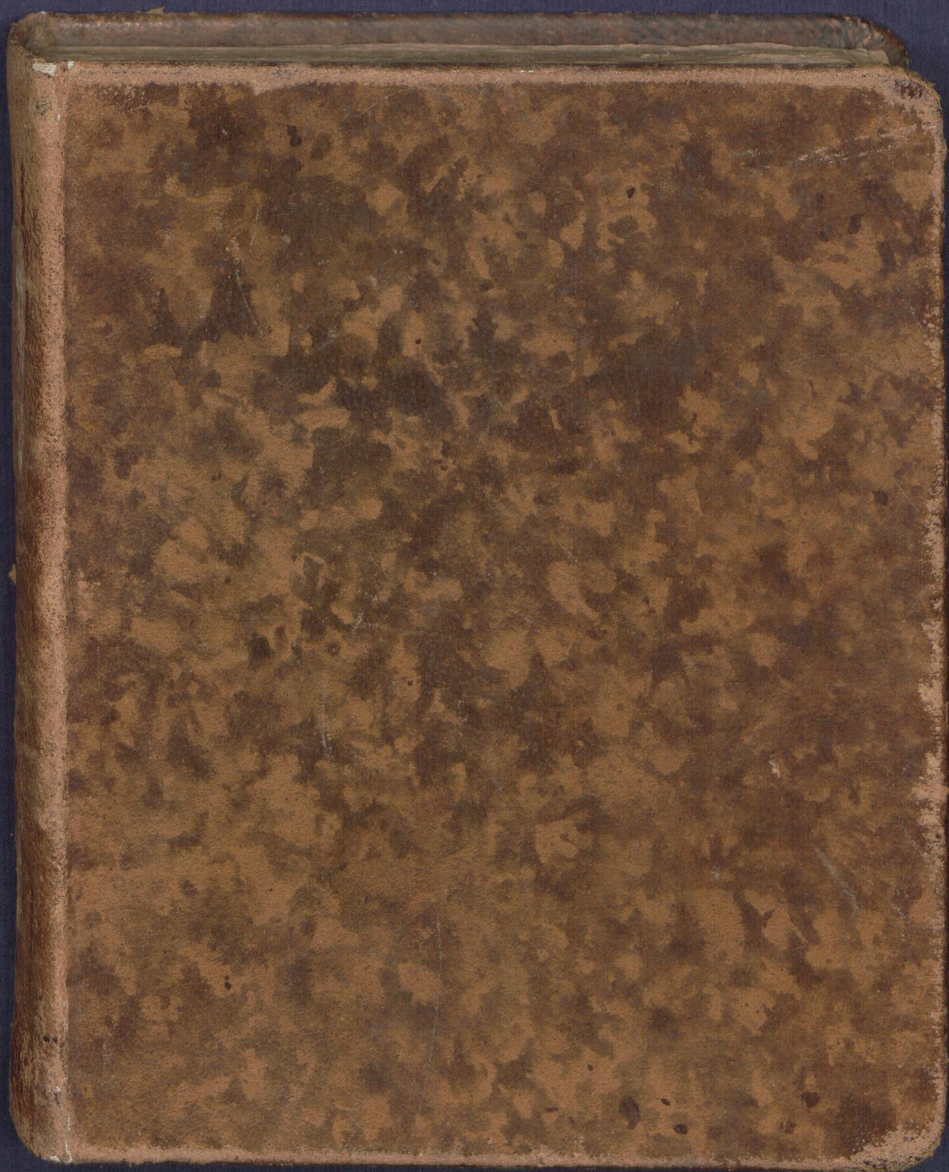
ADAMA MICKIEWICZA.

TOM PIÉRWSZY.



W POZNANIU, 1828.

(WŁASNOŚĆ AUTORA.)







1446193

degg

Trzymyścisławski

POEZYE
ADAMA MICKIEWICZA.

TOM PIÉRWSZY.



W POZNANIU, 1828.

(WŁASNOŚĆ AUTORA.)



13308831

11

Głoskani WILHELMA DECKERA
i Spółki.

Bibl. UAM

97 K 565

JANOWI CZECZOTOWI,
TOMASZOWI ZANOWI,
JÓZEFOWI JEŻOWSKIEMU

I

FRANCISZKOWI MALEWSKIEMU

PRZYJACIOŁOM MOIM

NA PAMIĄTKĘ
SZCZĘŚLIWYCH CHWIL MŁODOŚCI
KTÓRĄ Z NIMI PRZEŻYŁEM

POŚWIĘCAM.

ADAM MICKIEWICZ



LAUOWI CZERNOŃCOWI
TOMASZOWI ZIMOWI
JOSEFOWI JESOWSKIEMU

FRANCISZKOWI WILKOWSKIEMU



WILKOWSKIEMU

WILKOWSKIEMU

WILKOWSKIEMU

WILKOWSKIEMU

WILKOWSKIEMU

WILKOWSKIEMU

PRENUMERATOROWIE.

	Egzempl.
J. O. Książę RADZIWIŁŁ ANTONI, Namiestnik królewski w wielk. księstwie poznańskiem	2.
J. O. Książę Ordynat SUEKOWSKI	2.
JW. Jmé książdz VVolicki Teofil, Nominat, Ar- cybiskup gniezn. i pozn.	1.
Antoniewicz Michał, exped. p. komis. gener.	1.
Balcerowski książdz	1.
Białobłocki	2.
Biegański Franciszek	1.
Biegański Józef	1.
Błociszewski Stanisław	1.
Bniński Hr. Józef	5.
Boj, sędzia ziemiański i komis. sprawiedl.	1.
Bojanowski Kalikst	1.
Borowicz książdz Tomasz	1.
Braunek Józef	1.
Braun Maxym, professor gimn. pozn.	1.
Breza Henryk	3.
Brodnicki Piotr	2.
Brodowski Fryderyk, porucznik 19go p. w. pr.	1.
Bruchwicks Matensz, b. kapitan w. pol.	1.
Brzeziński książdz	2.
Chelmski Stanisław	3.
Chłapowski ks. F., kanonik kat. pozn.	1.

Egzempl.

Cichowicz, professor gimn. pozn.	1.
Cilski ksiądz	1.
Ciszewski	1.
Czapski.	3.
Dąbbscy Gustaw i Julian	3.
Dobieliński, notaryusz w. ks. pozn.	3.
Dunin, kanonik katedr. pozn. i gniezn.	2.
Dunin Scholastyka	1.
Gajerowicz ksiądz	1.
Grabowski Józef	8.
Gruszczyński Jan, rekt. sem. naucz. w Pozn.	1.
Gruszczyński	1.
Hebman, sędzia ziemiański	1.
Henke ksiądz	1.
Jagielski, med. dokt.	1.
Kalkstein Wincenty	2.
Kawiecki ks., kanonik katedr. pozn.	1.
Kiliński ksiądz	1.
Kinosowicz ksiądz	1.
Knispel ksiądz	1.
Koczorowski Tertulian	5.
Kolanowski Stanisław	1.
Kolski August	1.
Koszutski Franciszek	3.
Koszutski Nepomucen	1.

Egzempl.

Koszutski Piotr	1.
Kozłowski ksiądz	1.
Kramarkiewicz Kasper	1.
Kraszewski Antoni, fil. dokt.	2.
Kraszowski Antoni	1.
Krzyżanowski Antoni	3.
Krzyżanowski Jan	1.
Kurcewski Nepomucen, sędzia appell.	1.
Kurcewski	1.
Kurczewska Teresa	1.
Kwaśniewski	1.
Kwilecka Aniela Hr. z Kwileckich	1.
Kwilecki Hr. Arseniusz	3.
Kwilecki Hr. Waleryan	1.
Liszkowski	1.
Loga ksiądz Adam	2.
Łącki	1.
Łukaszewicz Konst., kom. sprawiedl.	1.
Łukaszewicz Józef	1.
Malczewski Adolf, uczeń gimn. pozn.	1.
Marcinkowski Karól, med. dokt	3.
Mastowski Lew	1.
Miączyński Aleksander	1.
Michalski Antoni, kom. ekonom. i specjalny	1.
Mielcarzewicz Teofil	1.
Mielżyńska Hr. z Zarembów, generałowa	1.

Mielżyński Hr. Mikołaj 10; jego syn Aleksan- der 2, ogół	12.
Mielżyński Hr. Maciej	5.
Mielżyński Hr. Ignacy	2.
Mielżyński Hr. Seweryn	3.
Milewska Marya, sędzina	1.
Milewski Józef	2.
Milkowski Franciszek	1.
Mioduszewski, referend. sądu ziemiańsk.	1.
Miszewski, kanonik katedr. pozn.	1.
Miszewski August	2.
Mottý Jan, professor gimn. pozn.	1.
Muczkowski Józef	1.
Murchwiński	1.
Mycielski Franciszek	3.
Mycielski Ludwik	2.
Nejman Michał, b. radzca ziem.	1.
Niegolewski Jędrzej	2.
Nieszczewski Antoni	1.
Niewiadoma dama przez A. K.	1.
Nieżyehowski Józef	1.
Niklewski ksiądz	1.
Ostrowski Seweryn	3.
Pawłowski ksiądz	1.
Pagowski Tadeusz	2.
Poniński Stanisław, dyrektor ziemstwa	3.

	Egzempl.
Popliński Antoni, profesor gimn. pozn.	1.
Popliński Jan, profesor gimn. leszczyńsk.	1.
Fotocki Hr. Bernard	10.
Potworowski Gustaw	2.
Powelski Stanisław	1.
Prusimski Maxymilian	1.
Przepalkowska Aleksandra	1.
Przyłuski, kan. kat. pozn. i oficyał	3.
Raabski Idzi Stefan, red. gaz. pozn.	2.
Radoński Franciszek	1.
Radoński Tadeusz	1.
Raszeński Lambert	2.
Rejkowski Dominik	1.
Rose Wincenty	1.
Rutter, med. dokt.	1.
Salkowski Walenty	1.
Sawiński Stanisław	1.
Schuman, radzca sprawiedl. w kom. general.	2.
Sierakowski Józef	2.
Skoraszewski Ignacy	2.
Skoraszewski Józef	1.
Skorzewski R.	1.
Smolkowski Lew	1.
Stablewski Karol	3.
Stablewski Erazm	2.
Stablewski Tadeusz	1.

Stoc Michał, prof. i zastęp. rekt. w gim. pozn.	1.
Święcicki Wiktor, b. kapit. art. pol.	1.
Świniarski Ignacy	1.
Świniarski Józef	1.
Świniarski Roman	1.
Sypniewski Stanisław	1.
Szczaniecka Emilia	5.
Szczaniecki Bogdan	2.
Szczaniecki Konstanty	3.
Szczepkowski Józef, prof. sem. nauczyc.	1.
Tomański, kanonik katedr. pozn.	1.
Tretnik ksiądz	1.
Turski Wincenty, major	1.
Werczyński	1.
Wieruszewski ksiądz	1.
Wierzbński	1.
Wieland Piotr	1.
Wojkowski Ignacy	3.
Wolf z Stanisławskich konsyliarzowa	1.
Wollowicz Eustachiusz	2.
Zaborowski Aloizy	1.
Zaborowski Antoni	1.
Zaborowski Ferdynand	1.

(Dalszy ciąg prenumeratorów będzie umieszczony
w następujących tomikach.)

Przemowa.

Jestto dawna i bardzo zbawienne dla artystów przestroga, ażeby wystawiając dzieła sztuk pięknych na widok publiczny, spokojnie w milczeniu oczekiwali sądu doskonałych znawców, według któregoby miarkować mogli o wartości pracy dokonanej, a dla przyszłych brać pożyteczne upomnienia i naukę. Lecz jeśliby który, doświadczeniem cudzém nauczony, przewidywał że dzieło jego z góry potępione być może za to, że te a nie inne wybrał do naśladowania wzory, do téj a nie innéj przyłączył się szkoły; wtedy powinienby usprawiedliwić się dla czego w wyborze przedmiotu dla sztuki swojej, odważył się pójść przeciwko mniemaniu pewnej liczby widzów, słuchaczów lub téż czytelników.

Przetoż ogłaszając zbiorek niniejszy ballad i pieśni gminnych, uważanych zwyczajnie za gatunek poezyi romantycznej, zostaiącej pod kłatwą, rzucaną dziś przez wielu poezyi arbitrow, teoretyków, a nawet samychże mistrzów; uczulem potrzebę wstępnie przemówić, wprawdzie nie jako artysta, lecz imieniem tych artystów, których rodzaj pracy był też i mojego ćwiczenia się przedmiotem. Mniemam zaś, że uczynię zadość powinności lub potrzebie, gdy zamiast zbijania zarzutów strony przeciwniej, wystawię rzecz moję we właściwej czystości; gdy zamiast bronięcia poezyi romantycznej, wywiode jej początek, oznaczę charakter, tudzież wymienię wzory celniejsze. Aby zaś pokazać dowodnie, jak rodzaj poezyi romantycznym zwany powstał, doskonalił się i na udzielny, w sobie skończony ukształcił się nareszcie, potrzeba wyłącznych okoliczności, wpływających nań, czyli tworzących go, szukać i odróżniać między mnóstwem innych okoliczności, tworzących inne poezyi rodzaje. Należy poszukiwać zwyczajnej zawisłości i następstwa zdarzeń; jak za odmianą uczuć,

charakteru, opinij narodowych, zachodzi odmiana w samej poezyi, która najpewniejszém bywa znamieniem wiekowego usposobienia ludów. Tym sposobem zamiar opisanja samej poezyi romantycznej, wciąga mimowolnie do uwag nad innemi jej rodzajami; albo raczej zniewala przebiegać historiją powszechną poezyi, przynajmniej ile rzecz przedsięwzięta wymaga, a granice przemowy pozwalają.

Nie wszystkie wszakże narody zastanawiać nas mogą; ze starożytnych grecki naprzód i najmocniej zwracać powinien uwagę. Naród ten, co do płodów imaginy, ich początku i rozwijania się, musi mieć, jako naród, podobieństwo z innemi narodami. Lecz jeżeli Grecy podobni są w tej mierze do innych, są tylko naturą rzeczy wszystkim pospolitej; ta zaś sama rzecz, uważana co do kształtu i przeznaczenia, jakie przyjmowała u Greków, odznacza ich i wynosi nad wszystkie inne narody. Wszystkie w dzieciństwie mają podostatek baśni rozmaitych. Fenomena przyrodzenia zadziwiająca, lecz słabemu

jeszcze pojęciu niedostępne, tłumaczone więc potwornie; na tłumaczenie ich wymyślano siły tajemne, duchy, mianowicie pod ludzką i zwierzęcą postacią; uczucia także i namiętności uosobiane i częstokroć w akcji wystawiane; zdarzenia nawet prawdziwe zmyśleniem zdobione, oto jest poczęści, co stanowi świat bajeczny, wszystkim może narodom spólny. Tworzy go młoda, ognista, lecz nieukształcona imaginacya; pomaga w tém język zwyczajnie z początku gruby, zmysłowy, wyobrażenia oderwane pod postacią rzeczy zmysłom malujący. Ale ten świat bajeczny u Greków rozleglejszy, bogatszy, rozmaitszy był, niż u innych narodów; bo téż imaginacya grecka żywsza i płodniejsza była, niż gdziekolwiek; i język grecki giętkością, obfitością, zmysłowością przewyższał inne. Wszakże nie dosyć na tém. Świat ten bajeczny niezadługo stał się przedmiotem rozmaitym, nieprzebrany i bardzo stosownym do sztuk pięknych, w całym wysokiém wziętych znaczeniu. Albowiem zbieg szczęśliwy okoliczności sprawił, że w Grecyi więcej niż gdziein-

V
dziej pojawiało się razem talentów twórczych, które samą powodowane naturą, ich ziemi właściwą, zwracały uczucie i imaginacją ku poszukiwaniu tego, co było delikatne,foremne, piękne, również w poezyi jak muzyce, tańcu, malowidle i innych sztukach. Nadto, Grecy długo swobodni, weseli, życie publiczne wiodący, czystą narodowością w całej mocy przejęci, największych cnót liczne przykłady mający, niemogli nie kształcić się moralnie w wysokim stopniu; kształcili więc drugi oddział władz, które łączą się w charakter moralny. Naostatek, umysły greckie podniesione, ciekawe, wytrwałe, wczesnie poszukiwać zaczęły prawdy; ćwiczyły się nieustannie rozumowaniem, rozinała w niem a najczęściej oryginalną postępując drogą; tym sposobem obudzał się duch filozoficzny, nawykano myśleć porządnie i głęboko, czyli tym sposobem kształcił się, wzmacniał i ustalał rozsądek. Gdy więc wszystkie władze umysłowe w ścisłej harmonii doskonałone były; gdy żywa imaginacya miarkowaną była przez delikatność uczucia i dojrzałość rozsądku, mogła więc

w dziele sztuki wydawać wielkość przy prostocie, foremność przy różnaitości, piękność przy łatwości. Tak sposobiony talent tworczy sztukmistrza greckiego, zwracał się ku staremu światowi bajecznemu, i umiał go wkrótce na nowy przetworzyć. Odrzucił wszystko, co było grube, potworne, rażące; wyobrażenia różnorodne i pomieszane uszykował, powiązał i w porządną ułożył całość. Te zaś wyobrażenia w całość układane, jakkolwiek oderwane czyli umysłowe, zawsze wyrażane były pod postacią rzeczy zmysłowych; ale rzeczy tak doskonałych i skończonych w sobie, jakie przymioty umysłem tylko czyli idealnie pojęte i wystawione bydz mogą. Tym sposobem ze świata bajecznego powstał ideał świata zmysłowego, czyli świat mitologiczny. Stworzył go, jak uważaliśmy dotąd, talent sztukmistrza, rozwinięty pośród harmonijnego kształcenia się wszystkich sił umysłowych, już z samej natury niepospolitych. Świat ten nie był bez celu i przeznaczenia. Mistrze albowiem greccy wystawując w dziełach sztuk pięknych przedmioty

ze świata mitologicznego brane, starali się wpływać na podnoszenie i doskonalenie w całym narodzie tych wszystkich sił umysłowych i zdolności, jakie już to świat rzeźbiony tworzyły, już na utworzenie jego wpływały. Gdy zaś talent twórczy sztukmistrza greckiego był wypadkiem równowagi pomiędzy imaginacją, uczuciem i rozsądkiem; stąd dzieła sztuk pięknych u Greków miały pewną wymiarkowaną formę równie w układzie jak zewnętrznym wydaniu, który przymiot i charakter sztuk pięknych zowie się stylem greckim albo klassycznym. Styl ten panował za wieku Peryklesa i dotknął się jeszcze czasów Alexandra W. Cośmy powiedzieli ogólnie o talencie sztukmistrza i charakterze sztuk pięknych u Greków, to wszystko oczywiście stosuje się do talentu poetyckiego i poezji w szczególności; dodajmy tylko, że poeta był zawsze w sztuce swojej swobodniejszy niż inni sztukmistrze, i mógł rozmaitszym sposobem, tudzież do większej masy narodu skutecznie przemawiać. Jakoż poeci greccy, w najświetniejszym okresie swojej sztuki, zawsze śpie-

wali dla gminu; pienia ich były składem uczuć, mniemań, pamiątek narodowych, ozdobionych zmysleniem i wydaniem przyjemnym; wpływały więc silnie na utrzymanie, wzmacnianie, owszem kształcenie charakteru narodowego. Następnie, ze zmianą okoliczności, gdy uczucia, charakter i energija narodu słabnąć poczęły, już to koleją czasu, już wpływem cudzoziemców, już przez klęski publiczne, utratę znaczenia i swobód krajowych; wtędy i talent poetycki przestawał być wielkim, i poezya traciła dawny swój charakter i wysokie przeznaczenie. Poeci rozstawiali się z ludem, nie już w polityce nieznaczącym i gardzonym, i przenosili się na dwory samowładzców, gdzie składali pochlebstwa, lub też słabo, niesmacznie, więcęć uczenie niż poetycko, naśladowali dawniejsze wzory klassyczne, jak przykłady poświadczają z wieku P t o l o m e u s z ó w. Tym sposobem poezya, która była niegdyś potrzebą narodową, przeszła w zabawę erudytyw lub próżniaków.

Po Grekach, Rzymianie są drugim sławnym w starożytności narodem, którego i w dziejach poezyi pominąć nie należy. Naród ten wszakże nie wiele nas pod tym względem zastanawiać może; bo jego obyczaje pierwiastkowe i życie, mniej pomyślną dla poezyi miały postać i kierunek. Ludy latyńskie, jako z natury dzikie i surowe, przez długi czas wojenne i zaborcze, jeżeli miały poezyą narodową, ta w grubiej zostawać musiała prostocie, z małym lub bez żadnego wpływu na cywilizacyą tych ludów. Nie rychło, za otwórzaniem się związków z Grekami, poezya grecka przemawiać zaczęła do uczucia rzymskiego; byłoto mianowicie w czasie poniżenia ludu, a ustalania się przewagi możnych, u których artykułem głównym poloru wyższego stała się też znajomość języka greckiego i literatury. Zjawily się wkrótce liczne talenta poetyckie w Rzymie, lecz które tłumaczyły tylko lub naśladowały wzory greckie, zachowując całkiem duch i nawet formy poezyi greckiej. Same wyobrażenia mitologiczne całkiem były przenoszone, albo mieszane tylko z mitami

krajowemi. Czytano więc poezją po łacinie, ale poezją grecką w słowa łacińskie przybraną. Nadto, czytała ją sama tylko klasa możniejszych, nader szczupła częśćka narodu. Tym sposobem w narodzie rzymskim nie było właściwie poezyi; bo nie było poezyi narodowej, któraby wpływając na charakter i kulturę całego narodu, dopełniać mogła była właściwego jej przeznaczenia. Tak więc u Rzymian kultura obca, od Greków pożyczona, przerwała bieg naturalny kultury narodowej; i poezya grecka położyła tamę właściwej poezyi rzymskiej, która, może bydz, iżby się jeszcze była rozwinęła.

Na ruinach państwa rzymskiego usadowione hordy północne i z ludem miejscowym zmieszane, miały kiedyś obudzić uśpioną długi czas imaginacją i zdobyć się na wcale nowy rodzaj poezyi. Hordy te, ile ich bydz mogło, miały zapewne właściwe sobie uczucia, opinie, wyobrażenia mityczne i podania; lecz pośród nich nie powstawały talenta poetyckie, któreby tak świetnie, jak niegdyś u Greków, mo-

gły świata bajecznego użyć; wpłynąć na uobyczajenie ludów; charakter narodowy oczyszczać i wzmacniać. Rozwinięciu się w tym sposobie talentu poetyckiego liczne stawiały przeszkody. Dzikie lub tułackie życie ludów północnych, mieszanie się jednych z drugimi; udzielanie sobie nawzajem wyobrażeń, mniemań, obyczajów i wyrazów języka, sprawiły, że mitologia północna, jakkolwiek, po niektórych stronach w poezyi bogatszych, kształconą, nigdy nie ustaliła się jednak: wyobrażenia mityczne nie złożyły foremnej, pięknej i harmonijnej jedności czyli systematu świata mitycznego; zawsze tam przebiegała się nieforemność, potworność, brak porządku, związku i całości. Dla téjże samej przyczyny język tych ludów długo był nie okrzesany: mógł być śmiały w wyrażeniach, ale mniej dobitnych i ścisłych. Lecz ponieważ stan rzeczonych ludów nagle i szybko zmieniał się, zawsze dla poezyi pomyślnie, aż się nareszcie nieco ustalić musiał; ztąd i poezya idąc statecznie za zmianami, przyjmowała zawsze coraz pewniejszą postać i charakter.

Nowe uczucia i wyobrażenia samym barbarzyńcom właściwe; tak nazwany duch rycerski i z nim połączony szacunek i miłość ku płci pięknej, Grecyi i Rzymianom obcy; ścisłe przestrzeganie praw honoru; uniesienia religijne; podania mityczne i wyobrażenia ludów barbarzyńskich, dawniejszych pogan i nowoczesnych chrześcijan pomieszane razem; oto jest, co stanowi w wiekach średnich świat romantyczny, którego poezya zowie się też romantyczną. Poezya ta miała swój stały charakter, miarkowany tylko miejscowym wpływem ponurych i uniesionych Normandów, wesołych Minnesängerów, czułych Trubadurów. Zewnętrzne wydanie czyli język, zlewkiem będąc języków północnych i rzymskiego, nazwany został romanckim; skąd poszło, że późniejsi i ową poezyą i duch czasu, romantycznymi nazywali.

Złanie się ostateczne ludów germańskich i skandynawskich z dawném plemieniem Rzymian, starcie się wyobrażeń i uczuć nowego świata z wyobrażeniami

i uczuciami dawnych, musiało znowu wywrzeć wpływ na charakter ludzkości, a stąd i na charakter poezyi. Skoro poznano lepiej wzory klassyczne Greków i Rzymian, poeci uczeni nie mogli być na nie obojętni, a korzystając z nich rozmaitym sposobem, utworzyli różne szkoły, różne poezyi gatunki. Jedni biorąc przedmioty z dziejów dawniejszych, chcieli je zupełnie tak co do istoty, jak i co do formy sposobem Greków traktować (Trissino), a niedosyć jeszcze s klassyczną literaturą oswojeni i niedosyć przejęci duchem starożytności, naśladować tylko umieli układ, podziały czyli wewnętrzne formy starożytne: drudzy stosując się do usposobienia wieku, w którym żyli, woleli brać przedmioty ze świata romantycznego, szykować w stosowny układ, starając się wszakże szczególne części, tudzież mowę wykształcać podług wzorów starożytnych (Ariosto); inni na koniec średnią niejako udali się drogą, rzecz i treść czyli materią w istocie romantyczną podciągając ściśle pod formy klassyczne, szczególnież co

się tycze proporcji w układzie i ozdób
w zewnętrzném wydaniu (Tasso).

Śród takiej rozmaitości, każdy s poetów, oceniając ich pod względem sztuki, tyle celu swojego dopiał, ile mu talent i potrzebne usposobienie wystarczało. Ale jeśli zwrócimy uwagę na lud, dla którego pisali, okaże się oczywiście: że dzieła, w których starano się duch i postać grecką zachować, nie mogły być powszechnie smakowane, przy mało upowszechnionej znajomości literatury starożytnej; że poeci opiewający zmyślenia narodowe sposobem przyjemnym, byli najupodobańsi i torowali drogę tym, którzy do świata romantycznego zaprowadzali coraz większy porządek, harmoniją i okrasę.

Rodzaje poezji teraz wyliczone, jako powstałe w nowym stanie rzeczy ówczesnej Europy, musiały być nowe, i od starożytnych całé różne. Naprzód rozwinęły się one u Włochów, gdzie, obok narodowej poezji, nauki starożytne wczęśniej i pomyślniej uprawiano.

W sąsiedniej Włochom Francyi już podówczas zniknęła narodowa romantyczna poezya. Trubadurowie prowancy przenieśli się na dwory panujących, i nie długo tam utrzymali znaczenie pomiędzy ludem nabyte. We Francyi xiążęta i możni szybko przyjmując polor towarzyskiego życia, nie wiele znajdowali powabu w pieniach wiejskich i prostaczych, do dworskiego tonu źle przypadających. Wkrótce za ugruntowaniem władzy królewskiej i nadwzięciem feudalnego systematu, cały interes narodowy przeniósł się na dwór królów. Wszystko tam musiało stosować się do etykiety łagodzonej nieco francuzką lekkością; kotterie prywatne przyjęły ton dworu, którego cechą było, przestrzeganie form etykietałnych, dyssymulacya prawie dyplomatyczna, grzeczność ujmująca wprawdzie, ale ceremonialna, ściśle podług miejsca i osób wyrachowana. Obok towarzyskiego poloru, z postępem nauk wzrastało oświecenie. Zapal do starożytności, ożywiający Włochy, udzielał się przy częstych związkach Francuzom. Co raz mocniej zajmowało uczonych, a za

niemi całą oświeciłą klasę, wszystko, co było greckiem i rzymskiem; nie żeby zgłębiano historią tych narodów, i z niej wyciągano ważne w polityce i moralności prawdy, ale starano się naśladować Greków i Rzymian; naśladowanie zaś według rozumienia Francuzów owoczesnych, polegało na przybraniu powierzchowności i tonu starożytnego.

W takim stanie rzeczy kto chciał podobać się Francyi, to jest Paryżowi, powinien był ostrość swojego indywidualnego charakteru stosować do mody panującej, ażeby się nie wydać pedantem i dziwakiem; musiał trzymać w korbach swój talent, miarkować imaginacją i uczucie, gdyż wszelki zapęd, wszelkie gwałtowne uniesienie, obrażało przyzwoitość dworską, poszukującą raczej dowcipu i rozsądku; potrzeba mu było nareszcie w dziełach sztuki, podług mody i zwyczaju, naśladować Greków i Rzymian, tyle przynajmniej, ile dworacy Henryków i Ludwika, naśladowali Katonów i Flaminiusów.

Poeci więc idąc za popędem wiekowym, zwrócili uwagę nie tak na naturę i na charakter ludzi, jako raczej na charakter społeczeństw paryzkich; wysmiewali trafnie i zręcznie uchybienia przeciwko przyzwoitości, obyczajowi i modzie; etykietę panującą na pięknym świecie, wprowadzając do świata imaginacyi, podciągali wszystko pod prawidła rozsądnie ułożone i wydane ozdobnie; bawili narazcie widowiskami dwór i Paryż. Powstały tym sposobem i kształciły się satyry, tudzież rodzaj dydaktyczny. A jako kultura ówczesna francuzka, nosząca cechę poloru przy podniesieniu i wyćwiczeniu władz wyższych, rozsądku i dowcipu, była zupełnie różną od kultury greckiej i wieków średnich, tak i świat poetycki francuzki, utworzony zbiegiem innych okoliczności, działaniem umysłów inaczej kształconych, okazał się w nowój całej postaci, od świata mitologicznego i romantycznego nieskończenie różny. W pierwszym widzieliśmy skojarzoną harmoniją i równoważące się niejako uczucie, imaginacyą i rozsądek; w drugim przemagały

władze niższe; a ostatni, to jest francuzki, któryby światem stósunków towarzyskich, światem konwencyonalnym nazwać można, jest pod panowaniem rozsądku, dowcipu, i formalności.

Nie mogły więc znaleźć tam miejsca, żadne zmyślenia śmiałe i wznoszące się nad zakres rzeczywistości, wszelkie podania nazbyt z baśniami powikłane. Szukano raczej przedmiotów historycznych; a czyli je brano ze starożytności, czyli z wieków średnich, naginano zawsze do trybu francuzkiego. Kiedy w takiej sferze ćwiczyły się sztukmistrzów talenta, rozwijanie się ich co do mocy i kierunku postępowało drogą nową, sobie tylko właściwą. Wpo-
ezyli, na którą tu szczególnieź zwracamy
baczność, zdaje się, iż imaginacya francuzka nie ważyła się sama przez się żadnego uczynić kroku, i pospiesza tylko na usługi innym władzom umysłu. Powołana od rozumu, okrasza ile możności prawidła dydaktyczne i fakta historyi; w rodzaju opisowym trzyma się gościńca wytkniętego od rozwagi systematycznej i za-

wsze krążąc blisko ziemi, maluje nasuwane sobie przedmioty z natury rzeczy-wistój, albo właściwiej mówiąc, zdejmuję z tych przedmiotów portrety, wykończone wprowadzie co do kolorytu, ale co do układu zbyt architektoniczne, zbyt wzorom swoim podobne i przez to obumarłe; jeżeli czasem podlatuje wyżej, szuka tylko w krainie zmyślenia materyałów, z których dowcip tworzy zimne, coraz upodobańsze budowcy lub emblemata allegoryczne. Równie skrupowana była druga władza, to jest uczucie. W materyach tyczących się moralności i obywatelstwa, usta poetów francuzkich powtarzają tylko to wszystko, co rzetelnie czuły serca poetów greckich, jak retorowie alexandryjscy powtarzali Peryklesa i Demostenesa; gdzie szło o wydanie delikatniejszych uczuć serca, pisarze z wieku Ludwika XIV. tchną zawsze duchem romantycznój sentymentalności, ale zbyt wyrafinowanój, zbyt wykwintnój; w obu dwu zaś razach ton namiętny miesza się z rozumowaniem i dowcipem w maxymach i antitezach. Utworzone tym spo-

sobem dzieła sztuki, co do istoty francuzkie, miały formę grecką, nie od sztukmistrzów wszakże, ale od teoretyków starożytnych przejętą *) i częstokroć zmienioną. W tragedyi naprzykład interes zasadzający się u Greków na mocnym wystawieniu charakterów, patetyczności lirycznej i klassyczném oddaniu; w dramatyce francuzkiej zależy od pewnego uszykowania i wikłania akcyi; prosty więc układ grecki zastąpiła tak nazwana intryga dramatyczna. Nakoniec pod względem zewnętrznj okras, to jest stylu, jeśli stawimy obok siebie rodzaje: klassyczny, romantyczny i francuzki, a materiją, treść i układ dzieła uważać będziemy za duch i ciało poezyi; styl da się porównać do ubioru i okazały się znowu różnice odpowiednie charakterowi wieków i ludów.

*) Kornel w walkach ze Scuderim i w sprawach s tego powodu nigdy nie cytuje Sofokla i Eurypidesa, ale poetyka tak często jest na placu, że zniecierpliwiony Wolter woła w komentarzach: »ach! jakże mnie nudzicie swoim Arystotelesem.«

Szata grecka poważna a razem lekka i powiewna, naginała się i układała rozmaicie, do najmniejszych ciała poruszeń, stąd w sztukach obrazowych tak ważną jest częścią dzieła draperya grecka, od wszystkich artystów przyjęta; tyle przydaje posągom lub obrazom wydatności i powabu. Mowa Greków, podobne mająca przymioty, stanowi ważną część ich poezyi, czyli tak nazwany styl klassyczny, odrębnie nawet od samej rzeczy uważany. Wieki średnie nie tak gustowne, uderzały przecież swoim charakterystycznym ubiorem. Wielkie płaszcze goralów szkockich, stalowa odzież rycerska, pióra i barwy familijne, ze znakiem krzyża albo wstęgą odróżniają bohatera czasów krucyat. — W stylu poetyckim romantycznym równie panuje śmiałość w składniach mniej giętkich, obok prostoty jakiś hart i tęgość, w wyrażeniach blask i częstokroć nastrępienie. Wreszcie strój francuzki zbyt jest prosty i jednostajny; zarówno służy bohaterom, radcom stanu i tancerzom, drobnymi tylko rozróżniony ozdóbkami; do zatrudnień życia towarzyskiego najstoso-

wniejszy i dla tego powszechnie przyjęty, sztukmistrzom wszakże okazał się niewygodnym. Artyści dramatyczni i mówcy w ubiorze francuzkim muszą swoje poruszenia i akcyą zewnętrzną bardzo miarkować, gdyż każdy gest gwałtowniejszy, draperyą niezłagodzony, wyda się zbyt ostrym i rażącym. Rzeźbiarz i malarz nie śmie posągu lub obrazu po francuzku ustroić; wszelka albowiem piękność składu i proporcji ciała, pod tym ubiorem zakryć się i zniknąć musi. Też same są właśnie przymioty i niedostatki mowy francuzkiej; można w niej wydać każdą myśl i uczucie, byleby niezbyt śmiało i gwałtowne; gdyż dla niedostatku odmian w składni i wyrażeniach, wszelkie niepospolitości nadto uderzają; poprawna i jasna w wykładzie umiejętności ścisłych, w rozmowie potocznej łatwa i wygodna, a stąd upowszechniona, jest znowu, dla zbytniej regularności, nadto niewolniczą i zawsze jednostajną, czyli się nią rozum, czy serce tłumaczy.

Jaką zatem widzieliśmy różnicę między światem mitologicznym, wieków średnich i konwencyonalnym; pod tylu względami poezya francuzka różni się od klassycznej i romantycznej. Pienia Greków ożywiał duch publiczny, romantyków rycerski, poetów Ludwika XIV. dworactwo. Pierwsi przemawiali do całego oświeconego narodu, drudzy do wojowników i do gminu, ostatni mieli na celu zabawę klasy oświecenijszej tylko. Grecy wykształcili mowę poetyczną do najwyższego stopnia doskonałości; poeci romantyczni język nieokrzesany zdobili śmiałą imaginacją i gorącym uczuciem; francuzka poezya w zewnętrznych ozdobach wynękana, nie miała właściwego stylu; była zawsze prozaiczną.

W historyi poezyi europejskiej z kolei nastąpić powinien naród Wielkiej Brytanii, z charakteru swojego od innych bardzo różny, odcięty morzem, a ztąd na obce wrażenia mniej wystawiony. Żywe uczucie i imaginacja wojennych Szkotów i Saxonów, nie mogły nie zajmować się

poezyą silnym sposobem. Mitologija tego narodu przez druidów i bardów więcéj niż gdzieindziej była wyrobiona. Lubo zaś wprowadzenie nauki chrześcijańskiej zniszczyło ludu tego mniemania religijne, z religiją wszakże na ziemi greckiej i rzymskiej rozkrzewioną i do Anglii szczepem przeniesioną, nie przeszła tak łatwo Greków i Rzymian poezya. W Anglii, w stanie jęj feudalnym, dawne zwyczaje i dawny dla poetów narodowych szacunek, dochowały się czyściéj i dłużej, niż gdzieindziej. Lud, mający udział już w życiu polityczném, już w wyprawach wojennych niemal ciągłych, lubił pienia rycerskie, ożywiane uczuciem narodowém i do miejscowych okoliczności stosowane. Dukiowie możni, i panujący feudatariusze, w poezyi bardów dzieje przodków swoich znajdowali. Dla tego w Anglii dłużej niż u innych narodów kształcona była poezya gminna, a Szkocya zachowała ją do ostatnich czasów. W takim stanie i usposobieniu ludu Wielkiej Brytanii, poeci owocześni stosując się do opinii i potrzeby powszechnéj, pienia narodowe powtarzali

i kształcili. Na ten sposób utworzyła się szkoła Szosera (Chaucer) i nie innym duchem tchną także dzieła dramatyczne, wpływające następnie na charakter narodowy. Szekspir wielki, słusznie nazwany dzieckiem uczucia i wyobraźni, kształcony jedynie na wzorach narodowych, zostawił w dziełach swoich dobitną cechę geniuszu indywidualnego i wiekowego usposobienia. Znaćca głęboki serca ludzkiego, malował w śmiałych i prawdziwych rysach naturę człowieka, w nowo utworzonym rodzaju poezji dramatycznej, którego głównym jest charakterem walka namiętności z powinnością; jedno z wyobrażeń świata romantycznego. Mniej szczęśliwy był Szekspir w traktowaniu przedmiotów z dziejów greckich i rzymskich; bo dla mało upowszechnionej wtedy znajomości historii i literatury, niepodobna było trafić doskonale w charakter i w ducha dwóch starożytnych narodów. Szekspir znając człowieka, nie znał Greka, Rzymianina, ani Anglika. Tymczasem zaprowadzał się w Anglii polor towarzyski. Na dwór Saint James przeniosła się etykieta wer-

salska, a z nią smak francuzki. Szkoła więc Szosera i Szekspira ustępować musiała przed rozumującym Pope, wymuskany *Adissonem* i dowcipnym *Swiftem*. Naśladowcy tych znamienitych pisarzy, coraz liczniejsi i coraz gorsi, zrzadzili upadek poezyi angielskiej, z którego ledwo dzwignęła się w wieku dzisiejszym za zjawieniem się dwóch geniuszów: *Waltera Skotta* i *Bajrona*. Pierwszy poświęcił swój talent dziejom narodowym, wydając powieści gminne świata romantycznego, klassycznie wyrobione; potworzył poemata narodowe i został dla Anglików *Ariostem*. *Bajron* ożywiając obrazy uczuciem, stworzył nowy gatunek poezyi, gdzie duch namiętny przebija się w zmysłowych rysach *imaginacyi*. *Bajron* w rodzaju powieściowym i opisowym jest tém, czém *Szekspir* w dramatycznym.

Te rozmaite charaktery poezyi, któreśmy przebiegali, zdaje się, że wszystkie rozwinęły się w szkole niemieckiej, jako najpóźniejszej. — Od połowy przeszłego

wieku poczęły wielkie genjusze społecznie jaśnieć po Niemczech. Rozległe przed nimi otworzyło się pole, liczne przybływały ułatwienia za postępem niewymownie szybkim nauk i całej kultury w krajach niemieckich, mianowicie północnych. Przez upowszechnianie znajomości gruntownej języków starożytnych i oraz nowożytnych, można było korzystać zarówno ze wzorów greckich, włoskich, francuzkich i angielskich. Poeci więc niemieccy biorąc przedmioty już ze świata klasycznego, już romantycznego, częstokroć od jednych duch i istotę, od drugich formy i wydanie, i miarkując to wszystko podług indywidualnych usposobień; nie dziw, że w płodach swoich ukazali się rozmaici i do siebie niepodobni. Ma jednak szkoła niemiecka pewny stały charakter, u różnych poetów mniej lub więcej wydatny. Niemcy bowiem, od czasów mianowicie reformy, skłonni będąc do uniesień i sentymentalności; dumając nad ulepszeniem bytu moralnego ludzi i społeczeństw; filozofując przez głębsze pojęcia umysłowe, usposobili się do dawania

uczuciom i wyobrażeniom formy coraz bardziej oderwanej i ogólnej. Nadto, duch ożywiający Niemców, jest kosmopolityczny, nie tak skierowany ku jednemu krajowi lub narodowi, jako raczej zajmujący się całą ludzkością; w malowaniu delikatniejszych uczuć serca, sentymentalność rycerska do czystości prawie umysłowej podniesiona. Świat więc poetycki Niemców, nazwać można światem idealnym umysłowym, od świata mitologicznego różnym; jego cechy najdobitniej wydają się w płodach wielkiego Schillera.

S tych dziejów poezyi, jakkolwiek zbyt krótko i ogólnie przebieżonych, widzieć można, iż rodzaj romantyczny nie jest zgoła nowym wymysłem, za jaki niektórzy chcą go uważać, ale powstał równie jak inne ze szczególnego usposobienia ludów; że dzieł właściwie romantycznych, w całym znaczeniu tego wyrazu, szukać należy u poetów wieku średniego; wszystkie zaś twory późniejsze romantycznemi nazwane, z istoty lub z układu, z formy lub stylu, należą częstokroć do innych,

bardzo od siebie różnych poezyi rodzajów. Jeśli, niedając względu na takową rozma-
 itość, ustanowimy podział ogólniejszy, ten
 okaże się absolutnym i niewłaściwym. Niektórzy pisarze, w całej literaturze poe-
 tycznej, widzą tylko klasycyzm i roman-
 tyczność, i dzieła wszystkich poetów, od
 Orfeusza do Bajrona, uważając za
 klasyczne lub romantyczne, po prawicy
 lub po lewicy kładą. Wtenczas z jednej
 strony Iliada staje obok Henryady, hy-
 mny na cześć bohaterów olimpijskich,
 przy odach Francuzów do potomności, do
 czasu i t. p.; na drugiej zaś stronie *Helden-*
buch i *Nibelungen*, spotkają się z boską
 komedią Danta i pieśniami Szyllera.
 Wiele dzieł nareszcie, jako Messyadę, so-
 nety Petrarka, Jerozolimę wyzwoloną,
 Hermana i Dorotę Göthego, i całą poe-
 zyą francuską, niepodobna zgadnąć, gdzie-
 by na tym strasznym sądzie odesłano.
 Taką korzyść przynoszą dla poetyki, po-
 działy ogólne i nieoznaczone. Wszakże i
 w szczegółach podobnie można wprowa-
 dzić zawichrzenie, jeśli klasyfikując poe-
 tów, krytyk, jak Nestor homeryczny, cały

tłum na narody podzieli. *) Wszystkich pisarzów jednego plemienia, np. Niemców, obwoła za romantyków, równie Lessynga jak Schillera, Wielanda i Göthego, Hagedorna i Bürgera. *Tros Italusve fuat*; albo téż jednemu pisarzowi każe bydź koniecznie romantykiem, np. Göthemu; chociaż jego *Ifigenia w Tauryce*, sądem znawców, ze wszystkich dzieł nowoczesnych, najbliżej do rodzaju klasycznego Greków przystępuje; chociaż jego Tasso łączy duch romantyczny ze stylem klasycznym; chociaż tenże Göthe we wszystkich prawie dziełach swoich ukazuje się coraz innym i nieskończenie rozmaitym. Cała niestósowność podziałów i nagłych wniosków stąd pochodzi, że piszący o poezyi, pochwycawszy od teoretyków niemieckich wyrazy klasyczność i romantyczność, podszywają pod nie własne swoje wyobrażenia; póty więc twierdzenia ich zrozumiałemi dostatecznie nie będą, póki pomienieni pisarze nie za-

*) Dziel tłumy na narody. *Iliada*.

czną używać wyrazów technicznych, w znaczeniu powszechnie przyjętém; albo nie wytłumaczać się s tego, jakie im nadają. Bo jeśli klassyczność i romantyczność weźmiemy w znaczeniu Schlegela, Buterweka, Eberharda, którzy pierwsi te wyrazy do teoryi wprowadzili i oznaczyli; jeśli za charakter poezyi romantycznej uznamy przebijające się w niej cechy ducha czasu, sposobu myślenia i uczucia ludów w wiekach średnich; natenczas powstać przeciwko romantyczności, nie jest to powstać przeciwko poetom, ale wypowiadać wojnę uczonej narodom rycerskim, których obyczaje i dzieła opiewali poeci. Nadto, jako w teraźniejszym Europy stanie, wiele zatrzymało się opinij, wiele odzywa się uczuć z czasów rycerskich; tak i w wielu dziełach nowożytnych różnego rodzaju widać mniej lub więcej cechy romantyczności. Chcąc w poezyi cechę tę zupełnie zniszczyć; potrzeba wprzód zmienić charakter narodów, co nie jest w mocy teoretyków; albo dowieść, iż przedmioty z wyobrażeń i uczuć świata romantycznego, nie dają się szczęśliwie

poetyckim sposobem traktować; przeciwko czemu mówią przykłady tylu wzorowych romantycznych sztukmistrzów *). Jeżeli zaś odrzucamy definicye teoretyków niemieckich, i do romantyczności przywiązujemy inne jakieś wyobrażenie; jeśli np. zakładamy jej istotę na łamaniu prawideł i wprowadzaniu diabłów, wtenczas zarzuty przeciwników takiej romantyczności, będą słuszne i nie zbite.

Dla uniknienia podobnych dwuznacznych twierdzeń, lepiejby było w pochwałach albo naganach jakiego rodzaju, wymienić zaraz pisarzów i dzieła, tudzież ich zalety lub uchybienia. Wszakże ocenianie krytyczne niedosyć jest opierać na samej części prawidłowej krytyki. Chcący albowiem podług ułamku poetyki Arysto-

*) Nietylko w poezyi, ale i w sztukach obrazowych krytyka odróżnia rodzaj romantyczny. W malarstwie naprzykład szkoły włoskiej, madonna i wyobrażenia aniołów, są wzięte ze świata romantycznego i do ideału podniesione.

telesa wyrokować o Homérze, Arioscie, Klopsztoku, Szekspirze, podobnym będzie do sędziego, któryby podług praw Solona, albo XII tablic, stanowią w sprawie Greka, Włocha, Niemca i Anglika. Nie idzie zatem, aby krytyka sztuk pięknych nie miała pewnych i stałych zasad; ale jako w świecie moralnym są jedne prawa wrodzone sumnieniu każdego pocziwego człowieka, w każdym czasie i narodzie; drugie od prawodawców, stosownie do okoliczności stanowione, za zmianą ducha czasu i obyczajów zmieniać się mogące; tak i w świecie imaginacyi są istotne i przyrodzone sztuki prawidła, które instynkt poetycki, we wzorowych dziełach, jakiegokolwiek bądź rodzaju, zachować umie i powinien; kiedy dalsze przepisy krytyczne, z uwag nad dziełami wyciągnięte, albo wyciągnąć się jeszcze mające, za zmianą usposobień umysłowych, a stąd i za zmianą charakteru dzieł sztuki, zmieniać się i miarkować muszą. To wszystko jeśli ma na oku estetyczna krytyka, odnosząc zawsze dzieła do czasu i ludzi, uniknie stronniczej natarczywości

w wytykaniu błędów sztuki jednego rodzaju; dla krytyków zaś rozważających sztukę nie tylko estetycznie, ale też historycznie, filozoficznie i moralnie, wszystkie rodzaje zarówno uwagi godne będą, wszystkie są tworem ludzi; ze wszystkich wy czytujemy charakter rozmaicie wykształconego umysłu ludzkiego, a najwyraźniej z tych, które jedynie mają na celu człowieka, malują jego obyczaje i uczucia. Ważnym więc i mocno zajmującym w każdym względzie okaże się, tak cały rodzaj romantyczny, jak i szczególny jego gatunek, poezya gminna: o niej zostaje nam jeszcze kilka słów powiedzieć; obszerniejszą bowiem wiadomość o poezyi gminnej, a mianowicie o poezyi gminnej narodowej, na inny raz zostawiamy.

Wspomnieliśmy wyżej, iż w wiekach średnich krążyły między ludem powieści i śpiewy: charakter ich być musiał mniej lub więcej jednostajny, całemu rodzajowi właściwy; przedmiotybrane z dziejów rycerskich, ozdobione zmyśleniami; uczucia dla płci pięknej w wyrazach czułości, albo

wesołych żartach, mowa naturalna i prosta, strofami do śpiewania stosowana. Pod tym ogólniejszym rodzajem, zawierało się mnóstwo szczególnych gatunków różnego nazwania. Śpiewki, sagi, lais, virelais, sarvantois i t. p.; najliczniejsze i najbardziej upowszechnione były ballady i romanse. U Włochów naprzód podobno zjawilo się imie ballady (canzone a ballo), nadawane bez różnicy wszelkim piosenkom' pospolicie wesołym, co sam wyraz *ballare* (tańczyć) oznacza. U Hiszpanów, gdzie poezya gminna bardzo kwitnęła, znano ją tylko pod imieniem romansów (romances). Francuzi odróżniali wprawdzie balladę od innych gatunków, ale nie tak z istoty i charakteru, jako raczej pod względem budowy strof i wiersza. Stąd wiele piosnek Marota, które do madrygalów i romansów liczyćby należało, nazywano balladami; stąd Boalo powiada, iż często uciniek dowcipny albo rym osobliwszy, stanowi całą zaletę tego gatunku poezyi. Inny wcale charakter, wyraźny i stały, ma ballada brytańska; jest to powiastka, osnowana z wypadków życia pospolitego,

albo z dziejów rycerskich, ożywiona zwyczajnie dziwnością ze świata romantycznego, opiewana tonem melancholicznym, w stylu poważna, w wyrażeniach prosta i naturalna. Od gór szkockich i irlandzkich roznieśli Bardowie i Minstrele ten gatunek na płaszczyzny Anglii, a poeci narodowi lubili ballady gminne zbierać, poprawiać, albo na ich wzór podobne tworzyć. Literatura angielska liczy więcćj dwóchset zbiorów tego rodzaju. Wszakże z czasem, kiedy duch poczyi londyńskiej zmieniać się i na inny sposób kształcić się począł, zjawily się ballady od gminnych wcale różne, wesołe i dowcipne, (Cowleja, Prayora), a często dawną balladę trawestujące (Swifta). Smak ten przecież trwał niedługo; wprzódycieo Rowe, a następnie Gay, Dawid Mallet, szczególnież zaś Persy i Walter Scott, dawny rodzaj poważnych ballad szkockich do świetności przywrócili. Podobna jest historia ballady u Niemców, gdzie ten gatunek, wielu liczący poetów, nie był jednak, tak jak w Anglii, upowszechnionym, i różnym co do charakteru i stylu podpadał

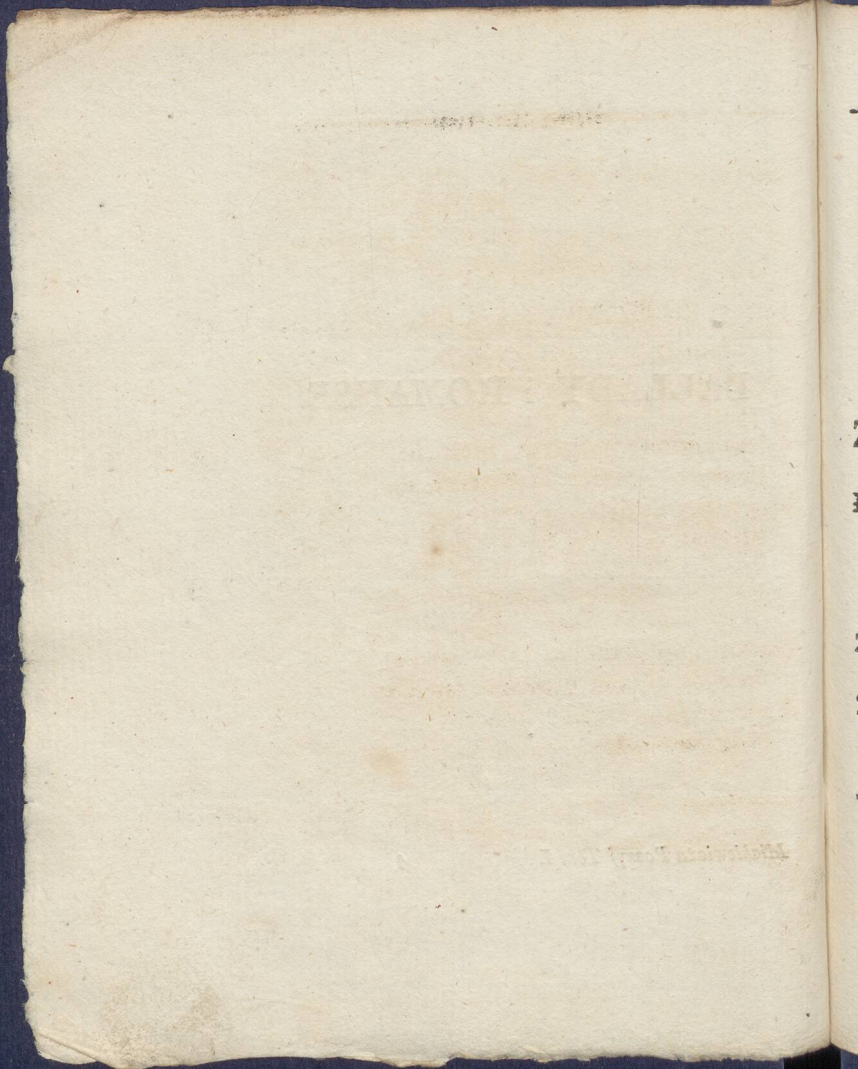
zmianom. W drugiej dopiero połowie przeszłego wieku (1773) Bürger sławną Lenorą i wielu innemi wzorami obudził mnogich naśladowców. Odtąd literatura niemiecka, po angielskiej, jest najbogatszą w ballady. Jaśnieją w tym rodzaju sławne skądinąd imiona: Stolbergów, Kosegartena, Höltego, Göthego i Schillera. Ostatni jednak zdaniem Buterweka nieco się oddalił, mianowicie w stylu, od naturalności i prostoty właściwej balladom szkockim.

Podobne są do ballad romanse (romance, *romanza*), szczególnie w Hiszpanii i Francyi upowszechnione; tém wszakże różnią się od ballady, iż poświęcone są czułości; mniej więc do nich wpływają zmyślenia dziwne, a forma pospolicie dramatyczną bywać zwykła; styl zaś jak największą naiwnością i prostotą zalecać się powinien.

Objaśnienie niektórych wyrazów.

Car, podbiat, lepieźnik ziele.
cmoknąć, mlasnąć, jak np. głaszcząc konia; *zatem*
wciągać w siebie powietrze ściśnionemi usty.
czerechnia, smrodynia, pocierpka, krzewina do ro-
dzaju porzeczeki należąca.
czerni, pospólstwo, mnóstwo, chrześcianie.
dosiewek, koniec siewu.
dożynek, wieniec.
duby smalone, (baje, bezsensa) *bredzić* (pleść).
jaskier, żabinek kwiat.
martwica, z rossyjsk. upiór.
niewód, sieć wielka.
ninie, teraz.
obszar, szeroki plac, przestrzeń.
przybory, przywłoki czyli skrzydła niewodu.
puszyk (puszk) zdrobn. od niem. *pusch*, największe
piérze ptasze; najwyższa część, to jest wierzchołek.
rozłóg i rozłoga, obszar, przestrzeń.
ruczaj, potok, struga.
siolo, wieś.
stolowanie, posowa.
strop, pulap, sufit.
świellica, z rossyjsk. izba.
tumanić, zasępiać, w zadumienie wprowadzić.
zażynek, początek żniw.
zrąb, ściany drawniane domu, na których dachu nie-
dano; w dzwonicy wiązanie do dzwonów, *zatem*;
zrąbnica, dzwonica.

BALLADY i ROMANSE.



PIÉRWIOSNEK. *)

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek piérwiosnek
Błysnął ze złotych obłonek.

JA.

Zawcześnie kwiatku, zawcześnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszy pleśnie,
Dąbrowa jeszcze niesucha.

*) *Primula veris.*

Przymruż złociste światełka,
 Ukryj się pod matki rąbek;
 Nim cię zgubi śrzonu ząbek,
 Lub chłodnej rosy perelka.

KWIATEK.

Dni nasze jak dni motylka,
 Życiem wschód, śmiercią południe;
 Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
 Niż w jesieni całe grudnie.

Czy dla bogów szukasz datku,
 Czy dla druha lub kochanki,
 Upleć wianek z mego kwiatku,
 Wianek to będzie nad wianki,

JA.

W podłej trawce, w dzikim lasku
 Urosłeś o kwiatku luby!
 Mało wzrostu, mało blasku,
 Cóż ci daje tyle chluby?

Ni to kolory jutrzeńki,
 Ni zawoje tulipana,
 Ni lilijowe sukienki,
 Ni róży pierś malowana.

Uplatam ciebie do wianka;
 Lecz skądże ufności tyle!
 Przyjaciele i kochanka
 Czy cię powitają mile?

KWIATEK.

Powitają przyjaciele
 Mnie wiosny młodej aniołka;
 Przyjaźń ma blasku nie wiele
 I cień lubi jak me ziółka.

Czym kochanki godzien rączek
 Powiedz niebieska Marylko!
 Za pierwszy młodości pączek
 Zyskam pierwszą... ach! lżę tylko.

ROMANTYCZNOŚĆ.

Methings i see . . . where?

← In my Mind's Eys.

SHAKESPEAR.

*Zdaje mi się, że widzę ... gdzie?
Przed oczyma duszy mojej.*

Słuchaj dziewczeczko!

— Ona nie słucha. —

To dzień biały! to miasteczko!

Przy tobie nie ma żywego ducha,

Co tam wkoło siebie chwytasz?

Kogo wolasz, z kim się witasz?

— Ona nie słucha. —

To jak martwa opoka,

Nie zwróci w stronę oka:

To strzela w koło oczyma;

To się łzami zaleje;

Coś niby chwyta, coś niby trzyma;

Rozplacze się i zaśmieje.

„Tyżeś to w nocy? to ty Jasieńku!

„Ach! i po śmierci kocha!

„Tutaj, tutaj, pomaleńku,

„Czasem usłyszysz macocha!

„Niech sobie słyszy, już nie ma ciebie!

„Już po twoim pogrzebie!

„Ty już umarłeś? Ach! ja się boję!

„Czego się boję mego Jasieńka?

„Ach to on! lica twoje, oczki twoje!

„Twoja biała sukienka!

„I sam ty biały jak chusta,

„Zimny, jakie zimne dłonie.

„Tutaj połóż, tu na łonie,

„Przyciśnij mnie, do ust usta!

„Ach jak tam zimno musi być w grobie!

„Umarłeś! tak, dwa lata!

„Weź mię, ja umrę przy tobie,

„Nie lubię świata.

„Źle mnie, w złych ludzi tłumie,
 „Płacę, a oni szydzą;
 „Mówię, nikt nie rozumie;
 „Widzę, oni nie widzą!

„Śród dnia przyjdź kiedy... To może wesnie?
 „Nie, nie ... trzymam ciebie w ręku.
 „Gdzie znikasz, gdzie mój Jasieńku?
 „Jeszcze wcześniej, jeszcze wcześniej!

„Mój Boże! kur się odzywa,
 „Zorza błyska w okienku.
 „Gdzie znikłeś! ach! stój Jasieńku!
 „Ja nieszczęśliwa.“

Tak się dziewczyna z kochankiem pieści.
 Bieży za nim, krzyczy, pada;
 Na ten upadek, na głos boleści,
 Skupia się ludzi gromada.

„Mówcie pacierze!“ krzyczy prostota,
 „Tu jego dusza być musi.
 „Jasio być musi, przy swój Karusi,
 „On ją kochał za żywota!“

I ja to słyszę, i ja tak wierzę,
Placzę, i mówię pacierze.

„Słuchaj dziewczeczko!“ krzyknie śród zgiełku
Starzec, i na lud zawoła;

„Usłajcie memu oku i szkielku,

„Nić tu nie widzę dokoła.

„Duchy karczemnej tworem gawiedzi,

„W głupstwa wywarzone kuźni.

„Dziewczyna duby smalone bredzi,

„A gmin rozumowi bluźni.“

Dziewczyna czuje, odpowiadam skromnie,

A gawieź wierzy głęboko,

Czucie i wiara silniej mówi do mnie,

Niż mędrca szkielko i oko.

Martwe znasz prawdy, nie znane dla ludzi,

Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd
iskierce.

Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!

Miej serce, i patrzaj w serce!

Ś W I T E Ź.

BALLADA.

DO MICHAŁA WERESZCZAKI.

Ktokolwiek będziesz w Nowogrodzkiej
stronie,

Do Płuzyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteż tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszcą oczernioną,
A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się doba
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą, i gwiazdy pod tobą
I dwa obaczysz księżycy.

Niepewny, czyli szklanna z pod twój stopy
 Pod niebo idzie równina,
 Czyli też niebo swoje szklanne stropy
 Aż do nóg twoich ugina.

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
 Dna nie odróżnia od szczytu,
 Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
 W jakiejś otchłani błękitu.

Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
 Wzrok się przyjemnie uludzi;
 Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
 Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
 Jakie się larwy szamocą,
 Drżą cały kiedy bają o tém starce,
 I strach wspominać przed nocą.

Nie raz wśród wody gwar jakoby w mieście,
 Ogień i dym bucha gęsty,
 I zgiełk walczących i wrzaski niewieście
 I dzwonów gwałt i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza,
I dziewic żałosne modły.

Co to ma znaczyć? różni różnie plotą,
Cóż kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Pan na Płużynach którego pradziady
Były Świtezi dziedzice,
Zdawna przemysłał i zasięgał rady,
Jak te zbadać tajemnice.

Kazał przybory w bliskim robić mieście,
I wielkie sypał wydatki;
Związano niewód głęboki stóp dwieście,
Budują czołny i statki.

Ja ostrzegałem: że w tak wielkim dziele,
Dobrze, kto z Bogiem poczyna,
Dano więc na mszę w niejednym kościele,
I xiądz przyjechał z Cyryna.

Staął na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał, pracę pokropił.
Pan daje hasło: odbijają baty,
Niewód się s szumem zatopił.

Topi się, pławki na dół s sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka.
Prężą się liny, niewód idzie s cicha,
Pewnie nie złowią ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciagną ostatek więcierzy:
Powiemże jakie złowiono straszidło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy,

Powiem jednakże; nie straszidło wcale,
Żywa kobieta w niewodzie,
Twarz miała jasną, usta jak korale,
Włos biały skąpany w wodzie.

Do brzegu dąży: a gdy jedni s trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem.

„Młodzieńcy, wiecie że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści,
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

I ty zuchwały, i twoja gromada,
Wrazbyście poszli w głębinie;
Lecz że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie:

Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli,
Bóg wam przez moje opowiada usta,
Dzieje téj cudnej topieli.

Na miejscach, które dziś piaskiem zaniosło,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

Świtez i w sławne orężem ramiona,
I w krasne twarze bogata,
Niegdyś od xiążąt Tuhanów rządzona
Kwitnęła przez długie lata.

Nie ómił widoku ten ostęp ponury,
Przez żyzne wskrós okolice,
Widać stąd było nowogródzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

Raz niespodzianie obległ tam Mendoga
Potężném wojskiem Car z Rusi;
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.

Nim ściągnął wojsko z odległej granicy,
Do ojca mego napisze:
Tuhanie! w tobie obrona stolicy,
Spiesz, zwołaj twe towarzysze.

Skoro przeczytał Tuhana list xiążęcy,
I wydał rozkaz do wojny,
Stańło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

Uderzą w trąby, rusza młódź, już w bramie
Błyska Tuhana proporzec;
Lecz Tuhana stanie i ręce załamie,
I znowu jedzie na dworzec.

I mówi do mnie: jaż własnych mieszkańców
Dla obcej zgubię odsieczy?
Wszak wiesz, że Świtez nie ma innych
szańców,

Prócz naszych piersi i mieczy.

Jeśli rozdzielę szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córzy i żony?

Ojczy, odpowiem, lękaś się niewczesnie,
Idź kędy sława cię woła,
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie,
Widziałam jego Anioła.

Okrażył Świtez miecza błyskawicą
I nakrył złotemi pióry,
I rzekł mi, póki męża za granicą,
Ja bronie żony i córzy.

Usłuchał Tuhan i za wojskiem goni,
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słychać gwar zdala, szcęk i tentent koni,
I zewsząd straszny wrzask: ura!

Zagrzmiały tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegą na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.

Gwałtu! wołają, zamykajcie bramę,
Tuż, tuż za nami Ruś wali.
Ach! zgińmy lepiej, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali.

Natychmiast wściekłość bierze miejsce
strachu;

Miecz bogactwa na stosy,
Przynoszą żagwie i płomień do gmachu,
I krzyczą strasznemi głosy:

„Przeklęty będzie, kto się nie dobije!”
Broniłam, lecz próżny opór;
Kłęczą, na progach wyciągają szyje,
A drugie przynoszą topór.

Gotowa zbrodnia; czyli wezwać hordy
I podłe przyjąć kajdany,
Czy bezbożnemi wytepić się mordy;
Panie! zawołam, nad pany.

Jeśli nie możemy ująć nieprzyjaciela,
 O śmierć blagamy u ciebie,
 Niechaj nas lepiej twój piorun wystrzela,
 Lub żywych ziemia pogrzebie.

Wtém jakaś białość nagle mię otoczy,
 Dzień zda się spędzać noc ciemną,
 Spuszczam ku ziemi przerażone oczy,
 Już ziemi nie ma podemną.

Takeśmy uszły zhańbienia i rzezi;
 Widzisz to ziele dokoła,
 To są małżonki i córki Świtezi,
 Które Bóg przemienił w ziola.

Białawém kwiecciem, jak białe motylki,
 Unoszą się nad topielą,
 List ich zielony, jak jodłowe szpilki,
 Kiedy je śniegi pobielą.

Za życia cnoty niewinnéj obrazy,
 Jój barwę mają po zgonie,
 W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
 Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

Doświadczył tego Car i Ruska zgraja,
Gdy piękne ujrzawszy kwiecie,
Ten rwie i szyszak stalony umaja,
Ten wianki na skronie plecie.

Kto tylko ściągnął do głębini ramie,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wylamie,
I śmierć gwałtowna ugadza.

Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
Pozostał sam odgłos kary,
Dotąd w swych baśniach prostota go święci,
I kwiaty nazywa Cary.“

To mówiąc pani zwolna się oddala.
Topią się statki i sieci,
Szum słychać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.

Jezioro do dna pękło nakształt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni,
Wpadła i falą nakryła się znowu,
I więcéj nie słychać o niej.

ŚWITEZIANKA, *)

BALLADA.

Jakiżto chłopiec piękny i młody?
Jakato obok dziewica?
Brzegami sinéj Świteziu wody
Idą przy świetle xiężyca.

Ona mu z kosza daje maliny,
A on jéj kwiatki do wianka;
Pewnie kochankiem jest téj dziewczyny,
Pewnie to jego kochanka.

Każdą noc prawie, o jednéj porze
Pod tym się widzą modrzewiem;
Młody jest strzelcem w tutejszym borze;
Kto jest dziewczyna? ja nie wiem.

*) Jest wieść, że na brzegach Świtezi pokazuja się
Ondiny czyli Nimfy wodne, które gmin nazywa
świteziankami.

Skąd przyszła? darmo śledzić kto pragnie;
 Gdzie uszła? nikt jej nie zbada.
 Jak mokry jaskier wschodzi na bagnie,
 Jak ogień nocny przepada.

„Powiedz mi piękna, luba dziewczyno,
 Na co nam te tajemnice,
 Jaką przybiegłaś do mnie dróżyną?
 Gdzie dom twój, gdzie są rodzice?”

Minęło lato, żółkniały liścia,
 I dżdżysta nadchodzi pora,
 Zawsze mam czekać twojego przyjścia
 Na dzikich brzegach jeziora?

Zawszeż po kniejach jak sarna płocha,
 Jak upiór błądzisz w noc ciemną?
 Zostań się lepij z tym, kto cię kocha,
 Zostań się, o luba! ze mną.

Chateczka moja stąd niedaleka
 Pośrodku gęstej leszczyny;
 Jest tam dostatkiem owoców, mleka,
 Jest tam dostatkiem zwierzyzny.“

„Stój, stój,“ odpowie, „hardy młokosie,
Pomnę, co ojciec rzekł stary:
Słowicze wdzięki w mężczyzny głosie,
A w sercu lisie zamiary.

Więcej się waszej obłudy boję,
Niż w zmienne ufam zapaly;
Możemy prośby przyjęła twoje;
Ale czy będziesz mnie stały?“

Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świętym księżycu blasku,
Lecz czy dochowa przysięgi?

Dochowaj, strzelcze, to moja rada:
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!

To mówiąc dziewczka, więcej nie czeka,
Wieniec włożyła na skronie,
I pożegnawszy strzelca zdaleka,
Na zwykłe uchodzi błonie.

Próżno się za nią strzelec pomyka,
Rączym wybiegom nie sprostał,
Znikła jak lekki powiew wietrzyka;
A on sam jeden pozostał.

Sam został, dziką powraca drogą,
Ziemia uchyla się grzązka,
Cisza wokoło, tylko pod nogą
Zwiedla szeleszcze gałązka.

Idzie nad wodą, błędny krok niesie,
Błędniemi strzela oczyma.
Wtém wiatr zaszumiał po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma, pękają tonie,
O niesłychane zjawiska!
Ponad srebrzyste Świtezi błonie
Dziewicza piękność wytryska.

Jej twarz, jak róży bladój zawoje;
Skropione jutrzeńki łezką,
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiałą postać niebieską.

„Chłopcze mój piękny, chłopcze mój młody,
Zanóci czule dziewica,
Poco wokoło Świtezium wody
Błądzisz przy świetle księżycy?

Poco żałujesz dzikiej wietrznicy,
Która cię zwabia w te knieje,
Zawraca głowę, rzuca w tęsknicy,
I może jeszcze się śmieje.

Daj się namówić czułym wyrazem,
Porzuć wzdychania i żale,
Do mnie tu, do mnie, tu będziem razem
Po wodnym płąsać kryształ.

Czy zechcesz, niby jaskółka chybka,
Oblicze tylko wód muskać;
Czy zdrów jak rybka, wesół jak rybka,
Cały dzień ze mną się pluskać.

A na noc w łożu srebrnej topieli
Pod namiotami zwierciadeł,
Na miękkiej wodnych lilijek bieli,
Środ boskich usnąć widziadeł.

Wtém z zasłon błysną piersi łabędzie;
Strzelec w ziemię patrzy skromnie,
Dziewica w lekkim zbliża się pędzie,
I, do mnie, woła, pójdź do mnie.

I na wiatr lotne rzuciwszy stopy,
Jak tęcza śmiga w krąg wielki,
To znowu siekąc wodne zatopy,
Srebrnemi pryska kropelki.

Podbiega strzelec i staje w biegu,
I chciałby skoczyć i nie chce;
Wtém modra fala, prysnąwszy z brzegu,
Zlekka go w stopy zalechce.

I tak go łechce i tak go znęca,
Tak się w nim serce rozpływa;
Jak gdy tajemnie rękę młodzieńca
Ściśnie kochanka wstydliva.

Zapomniał strzelec o swój dziewczynie,
Przysięgą pogardził świętą,
Na zgubę oślep bieży w głębinie,
Nową zwabiony ponętą.

Bieży i patrzy, patrzy i bieży;
Niesie go wodne przestworze,
Już zdala suchych odbiegł wybrzeży,
Na średniem igra jeziorze.

I już dłoń śnieżną w swój ciśnie dłoni,
W pięknych licach topi oczy,
Ustami usta różane goni,
I skoczne okręgi toczy.

Wtém wietrzyk świsnął, obłoczek pryska,
Co ją w łudzącym krył blasku,
Poznaje strzelec dziewczynę zbliśka;
Ach to dziewczyna spod lasku!

„A gdzie przysięga? gdzie moja rada?
Wszak kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!

Nie tobie igrać przez srebrne tonie
Lub nurkiem pluskać w głąb jasną;
Surowa ziemia ciało pochłonie,
Oczy tyje żwirem zagasną.

A dusza przy tém świadomém drzewie
Niech lat doczeka tysiąca,
Wiecznie piekielne cierpiąc żarzewie,
Nie ma czém zgasić gorąca.“

Słyszysz to strzelec, błędny krok niesie,
Błędniemi rzuca oczyma;
A wichler szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma, i wre aż do dna,
Kręconym nurtem pochwyca,
Roztwiera paszczę otchłan podwodna,
Ginie z młodzieńcem dziewica.

Woda się dotąd burzy i pieni,
Dotąd przy świetle księżyca
Snuje się para znikomych cieni;
Jestto z młodzieńcem dziewica.

Ona po srebrném płasza jeziorze,
On pod tym jęczy modrzewiem.
Któż jest młodzieniec? strzelcem był w borze.
A kto dziewczyna? ja nie wiem.

R Y B K A.

BALLADA.

(Ze *śpiewu gminnego.*)

Od dworu, spod lasa, z wioski,
Smutna wybiega dziewczica,
Rozpuściła na wiatr włoski
I łzami skropiła lica.

Przybiega na koniec łączki,
Gdzie w jezioro wpada rzeka;
Zalamuje białe rączki,
I tak żalosnie narzéka.

O wy, co mieszkacie w wodzie,
Siostry moje Świtezianki,
Słuchajcie w ciężkiej przygodzie,
Głosu zdradzonej kochanki.

Kochałam pana tak szczerze,
On mię przysięgał zaślubić,
Dziś więźnę za żonę bierze,
Krysię ubogą chce zgubić.

Niechże sobie żyją młodzi,
 Niech się z nią obludnik pieści,
 Niech tylko tu nie przychodzi
 Urągać się z mych boleści.

Dla opuszczonej kochanki
 Cóż pozostało na świecie?
 Przyjmijcie mię Świtezianki,
 Lecz moje dziecię... ach dziecię!

To mówiąc rzewnie zapłaczę,
 Rączkami oczy zasłoni,
 I z brzegu do wody skacze,
 I w bystrzej nurza się toni.

Wtém z lasu, gdzie się dwór bieli,
 Tysiączne świecą kagańce,
 Zjeżdżają goście weseli,
 Muzyka, hałas i tańce.

Lecz mimo tego hałasu
 Placz dziecięcia słychać w lesie,
 Wierny sługa wyszedł z lasu,
 I dziecko na rękę niesie.

Ku wodzie obraca kroki,
 Gdzie łoża gęsto spleciona,
 Wzdłuż wykręconej zatoki
 Okryła rzeki ramiona.

Tam staje w ciemnym zakątku,
 Placze i woła: „niestety!
 Ach któż da piersi dzieciątku!
 Ach! gdzie ty Krysiu, ach gdzie ty?”

„Tu jestem w rzęce u spodu,”
 Cichy mu głos odpowiada:
 „Tutaj drzę cała od chłodu,
 „A żwir mi oczki wyjada.

„Przez żwir, przez ostre kamuszki
 „Fale mnie gwałtowne niosą,
 „Pokarm mój koralki, muszki,
 „A zapijam zimną rosą.”

Lecz sługa jak na początku,
 Tak wszystko woła, niestety!
 Ach któż da piersi dzieciątku
 Ach gdzie ty Krysiu, ach gdzie ty?

Wtém się coś zlekka potrąci
 Śród kryształowej przezroczy,
 Woda się zlekka zamąci,
 Rybka nad wodę podskoczy.

I jak skałka płaskim bokiem,
 Gdy z lekkich rąk chłopca piérzchnie;
 Tak nasza rybka podskokiem
 Mokre całuje powiérzchnie.

Złotemi plamki nadobna,
 Krasne ma po bokach piórka,
 Główka jak naparstek drobna,
 Oczko drobne jak paciórka.

Wtém rybią łuskę odwinie,
 Spojrzy dziewicy oczyma,
 Z głowy jasny włos wypłynie,
 Szyjka cieniuchna się wzdyma.

Na licach różana krasa,
 Piersi jak jabłuszka mléczne,
 Rybią ma pletwę do pasa;
 Płynie pod chrósty nadrzéczne.

I dziecię bierze do ręki,
 U łona białego tuli,
 „Luli,“ woła, „mój maleńki,
 „Luli, mój maleńki, luli.“

Gdy dziecię płakać przestało,
 Zawiesza kosz na gałęzi,
 I znowu ściska swe ciało,
 I główkę nadobną zwęzi,

Znowu ją łuski powleką,
 Od boków wyskoczą skrzelki,
 Plusła, i tylko nad rzeką
 Kipiące pękły bąbelki.

Tak co wieczora, co ranka,
 Gdy sługą stanie w zakątku,
 Wraz wypływa Świtezianka,
 Żeby dać piersi dzieciątku,

Za cóż jednego wieczora
 Nikt nie przychodzi na smugi?
 Już zwykła przemija pora;
 Nie widać z dziecięciem sługi

Nie może on przyjść tą stroną,
 Musi zaczekać troszeczkę;
 Bo właśnie teraz pan z żoną
 Poszli przechadzką nad rzeczkę.

Wrócił się; czekał zdaleka
 Za gęstym usiadłszy krzakiem;
 Lecz próżno czeka i czeka;
 Nikt nie powracał tym szlakiem.

Wstaje, i dłoń w trąbkę zwinął,
 I patrzył przez palców szparę;
 Ale i dzień już przeminął,
 I mroki padają szare.

Czekał długo po zachodzie,
 A gdy noc gwiazdy zapala,
 Zbliża się zlekka ku wodzie,
 I śledzi oczyma zdala.

Przebóg cudy, czy moc piekła!
 Uderza go widok nowy,
 Gdzie pierwój rzeczulka ciekła,
 Tam suchy piasek i rowy.

Na brzegach porozrzucana
 Wala się odzież bez ładu;
 Ani pani, ani pana
 Nie widać nigdzie i śladu.

Tylko z zatoki połową
 Stérczał wielki głazu kawał,
 I dziwną kształtu budową
 Dwa ludzkie ciała udawał.

Zdumieje się wierny sługa,
 Rozpierzchłych myśli nie złowił;
 Przeszła godzina i druga
 Nim wreszcie słówko przemówił.

Krysiu, o Krysiu, zawołał:
 Echo mu, Krysiu, odpowie;
 Lecz próżno patrzy do koła,
 Nikt nie pokazał się w rowie.

Patrzy na rów i na głazy,
 Otrze pot na licu zbladłém,
 I kiwnie głową trzy razy,
 Jakby chciał mówić: już zgadłem.

Dzieciatko na ręce bierze,
 Śmieje się dzikim uśmiechem,
 I odmawiając pacierze
 Wraca do domu s pośpiechem.

POWRÓT TATY.

BALLADA.

Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem,
 Za miasto, pod słup na wzgórek;
 Tam przed cudownym klęknięjcie obrazem,
 Pobożnie zmówcie paciórki.

Tata nie wraca; ranki i wieczory
 We łzach go czekam i trwodze;
 Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,
 I pełno zbójców na drodze.

Słyszac to dziatki, biegą wszystkie razem,
Za miasto pod słup na wzgórek;
Tam przed cudownym kłękają obrazem,
I zaczynają paciórek.

Całują ziemię: potem w imię Ojca,
Syna, i Ducha świętego;
Bądź pochwalona przenaświętsza Trójca
Teraz i czasu wszelkiego.

Potem ojeze nasz, i zdrowaś i wierzę,
Dziesięcioro i koronki;
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą xiążeczke s kieszonki,

I litanją do najświętszej matki,
Starszy brat śpiéwa; a z bratem,
Najświętsza matko, przyśpiéwują dziatki,
Zmiluj się, zmiluj nad tatam!

Wtém slychać tarkot, wozy jadą drogą,
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci, i krzyczą jak mogą:
Tata, ach tata nasz jedzie!

Obaczył kupiec, łyzy radosne leje,

Z wozu na ziemię wylata;

„Ha, jak się macie, co się u was dzieje?

Czyście tęskniły do tata?

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?

A ot rozynki w koszyku;”

Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,

Pełno radości i krzyku.

„Ruszajcie,“ kupiec na sługi zawoła,

„Ja z dziećmi pójdę ku miastu.“

Idzie . . . aż zbójcy obskoczą do koła;

A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,

Wzrok dziki, suknia plugawa;

Noże za pasem, miecz u boku błyska,

W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,

Tulą się pod płaszcz na łonie;

Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,

Drżące ku zbójcom wzniosł dłonie.

„Ach bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo;
Nie róbcie małych sierotami dziatek,
I młodej małżonki wdową.“

Nie słucha zgraja; ten już wóz wyprzega,
Zabiera konie; a drugi

Pieniędzy krzyczy i buławą sięga;
Ow z mieczem wpada na sługi.

Wtém, „stójeie, stójeie,“ krzyknie starszy
zbójca,

I spędza bandę precz z drogi;
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
„Idźcie,“ rzekł, „dalej bez trwogi.“

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie,
„Nie dziękuj, wyznam ci szczerze,
Piérwszybym palkę strzaskał na twój głowie,
Gdyby nie dziatek pacierze.

Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem.

Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupca,
Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty,
Modlą się dziatki do Boga.
Słucham; początku porwał mnie śmiech pusty,
A potem litość i trwoga.

Słucham; ojczyste przyszły na myśl strony,
Bulawa upadła z ręki;
Ach ja mam żonę! i u mojej żony,
Jest synek taki maleńki.

Kupcze jedź w miasto, ja do lasu muszę,
Wy dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie, i za moję duszę
Zmówcie też czasem paciórki.

KURHANEK *) MARYLI.

R O M A N S.

(*Myśl ze śpiewu Litewskiego.*)

CUDZY CZŁOWIEK, DZIEWCZYNA, JAŚ, MATKA,
PRZYJACIÓŁKA.

CUDZY CZŁOWIEK.

Tam u niemnowej odnogi,
Tam u zielonej rozłogi,
Co to za piękny kurhanek?
Spodem uwieńczon jak w wianek,
W maliny, ciernie i głogi;
Boki ma strójne murawą,
Głowę ukwieconą w kwiaty;
A na niej czeremchy drzewo,
A od niej idą trzy drogi.
Jedna droga na prawo,
Druga droga do chaty,
Trzecia droga na lewo.

*) Pagórek.

Ja tędy płynę z wiciną,
Pytam się ciebie dziewczyno
Co to za piękny kurhanek?

DZIEWCZYNA.

W całej wsi pytaj się bracie,
A cała wieś powie tobie:
Maryla żyła w tej chacie,
A teraz leży w tym grobie.
Na prawej stronie te śladki
Ubite nogą pastuszka;
To jest dróżyna jej matki,
A stąd przychodzi jej druszka.
Lecz oto błysnął poranek,
Przyjdą oni na kurhanek;
Ukryj się tu za stós łomu.
Sam ich posłuchasz niedoli,
Własne twe oczy zobaczą.
Patrz w prawo ... idzie kochanek.
Patrz, matka idzie z domu.
Patrz w lewo, przyjaciółka.
Wszyscy idą powoli,

I niosą ziółka,
I płaczą.

J A Ś.

Marylo! o téj porze!
Jeszcześmy się nie widzieli,
Jeszcześmy się nie ścisnęli.
Marylo! zaszło zorze!

Tu czeka twój kochanek,
Czy ty przespalaś ranek,
Czy na mnie zagniewana,
Ach Marylo kochana!

Gdzież się ty dotąd kryjesz?

Nie, nie przespalaś ranka,
Nie gniewasz się na Janka;
Lecz nie żyjesz, nie żyjesz!
Więzi cię ten kurhanek,
Nie ujrzysz już kochanka,
Nie ujrzy cię kochanek!

Dawniej, kiedy spać szedłem, tém słodziłem
chwile,

Że skoro się obudzę, obaczę Maryłę.

I dawniej spałem mile!

Teraz tutaj spać będę od ludzi daleki,
Może ją we śnie ujrzę, gdy zamknę powieki;

Może zamknę na wieki!

Bylem ja gospodarny, gdy byłem szczęśliwy;

Chwalili mię sąsiedzi,

Chwalił mię ojciec siwy,

Teraz się ojciec biędzi;

A ja ni ludziom, ni Bogu!

Niech ziarno w polu przepadnie,

Niech ginie siano ze stogu,

Niech sąsiad kopy rozkradnie,

Niech trzédę wyduszą wilki!

Niémasz, niémasz Marylki!

Daje mi ojciec chaty,

Daje mi sprzęt bogaty,

Bym wziął w dom gospodynię,

Namawiali mię swaty,

Niémasz, niémasz Maryli!

Swaty nie namówili.

Nie mogę — nie — nie mogę;

Wiém, ojczę, co uczynię,

Pójdę w daleką drogę.

Więcej mię nie znajdziecie,
Choćbyście i szukali;
Nie będę już na świecie,
Przystanę do Moskali,
Żeby mię wraz zabili.

Niémasz, niémasz Maryli!

MATKA.

Czemuż nie wstałam zrana?
Już w polu pełno ludzi.
Niémasz cię, niémasz kochana
Marylo! któż mię obudzi!
Płakałam przez noc całą,
Zasnęłam, kiedy dniało.

Mój Szymon gdzieś już w polu,
Wyprzedził on świtania;
Nie budził mię, mojego litując się bolu,
Poszedł s kosą bez śniadania.
Koś ty dzień cały, koś sobie,
Ja tutaj leżę na grobie.

Czegóż mam iść do domu?
 Kto nas na obiad zawoła?
 Kto z nami siądzie u stoła?
 Niemasz, ach niemasz komu!
 Pókiśmy mieli ciebie,
 W domu było jak w niebie,
 U nas i wieczorynki,
 S całej wsi chłopcy, dziewczki,
 Najweselsze zażynki,
 Najhuczniejsze dosiówki,
 Niemasz cię! w domu pustynie!
 Każdy, kto idzie, minie.
 Zawiasy rdzewieją w sieni,
 Mchem się dziedziniec zieleni;
 Bóg nas opuścił, ludzie opuścili,
 Niemasz, niemasz Maryli!

PRZYJACIÓŁKA,

Tutaj bywało z ranku
 Nad wodą sobie stoim;
 Ja o twoim kochanku,
 Ty mnie mówisz o moim,

Już więcćj z sobą niebędziem mówili.
Niemasz, niemasz Maryli!

Któż mi zwierzy się szczerze,
Komuż się ja powierzę?

Ach gdy z tobą kochanie,
Smutku i szczęścia nie dzielę;
Smutek smutkiem zostanie,
Weselem nie jest wesele.

CUDZY CZŁOWIEK.

Słyszy to cudzy człowiek,
Wzdycha, i łzy mu płyną;
Westchnął, otarł łzy s powiek,
I dalej poszedł z wiciną.

DO PRZYJACIOŁ.

POSTĘPAJĄC IM BALLADĘ: TO LUBIĘ.

Kowno, dnia 27. grudnia.

Bije raz, dwa, trzy . . . już północna pora,
 Głuche w około zacisze,
 Wiatr tylko szumi po murach klasztoru,
 I psów szczekanie gdzieś słyszę.
 Świeca w lichtarzu dopala się na dnie.
 Raz w głębi tłumi ogniska;
 Znowu się wzmoże, i znowu opadnie,
 Błyska, zagasa, i błyska.
 Straszno! — nie była straszną ta godzina,
 Gdy były nieba łaskawsze;
 Ileż mi słodkich chwilek przypomina;
 Przecz . . . to już znikło nazawsze!
 Teraz ja szczęścia szukam, ot w tój xiędze;
 Xięga znudziła, porzucam;
 Znowu ku lubym przedmiotom myśl pędzę,
 To marzę, to się ocucam.

Czasem, gdy słodkie złudzi zachwycenie,
Kochankę widzę, lub braci;
Zrywam się, patrzę; aż tylko po ścienie
Biega cień własnej postaci.

Ot lepiej pióro wezmę, i wśród ciszy,
Gdy się bez ładu myśl płacze,
Zacznę coś pisać dla mych towarzyszy;
Zacznę; bo nie wiem, czy skończę.

Może też pamięć o minionej wiosnie,
Zimowy wierszyk umili;
Chcę coś okropnie, coś pisać miłośnie,
O strachach i o Maryli,

Kto pragnie pędzlem swe rozślawić imię,
Niech ję maluje portrety,
Wieszcz w nieśmiertelnym niech opiewa
rymie,

Serca, rozumu zalety,

Mnie choć to wszystko w umyśle przytomne,
Pociechy szukam, nie sławy;
Lepiej wam powiem, jeżeli przypomnę,
Jakie z nią miałem zabawy.

Maryla, słodkie miłości wyrazy
Dzieliła skąpo w rachubie;
Choć jej kto kocham, mówił po sto razy,
Nie rzekła nawet i lubię.

Za to więc w Rucie pod północną chwilę,
Kiedy się wszyscy spać kładą,
Ja na dobranoc, żegnając Maryłę,
Taką straszylem balladą.

T O L U B I Ę.
BALLADA. *)

Spojrzysz, Marylo, gdzie się kończą gaje,
W prawą łóz gęsty zarostek,
W lewą się piękna dolina podaje,
Przodem rzeczulka i mostek,

*) Ta Ballada jest tłumaczeniem wiejskiej pieśni;
jakkolwiek zawiera opinije fałszywe i z nauką
o czyscu niezgodne, nie śmieliśmy nic odmie-
niać, aby tém wyraźniej zachować charakter

Tuż stara cerkiew, w niej puszczyk i sowy,
 Obok dzwonnicy zrąb zgniły,
 A za dzwonnica chrośniak malinowy
 A w tym chrośniaku mogiły.

Czy tam biś siedział, czy dusza zakłeta,
 Że o północnej godzinie,
 Nikt, jak najstarszy człowiek zapamięta,
 Miejsce tych bez trwogi nie minie.

Bo skoro północ nawlecze zasłony,
 Cerkiew się s trzaskiem odmyka;
 W pustej zrąbnicy dzwonią same dzwony,
 W chrustach coś huczy i ksyka.

Czasami płomyk okaże się blady,
 Czasem grom trzaska po gromie,
 Same się z mogił ruszają pokłady,
 I larwy stają widomie.

gminny, i dadź poznać zabobonne mniemania
 ludu naszego. Najbliższe zaś jest zakoń-
 czenie tej pieśni przez śpiewanie Anioł Pań-
 ski.

Raz trup po drodze bez głowy się toczy,
To znowu głowa bez ciała;

Roztwiera gębę i wytrzyszcza oczy,
W gębie i w oczach żar pała.

Albo wilk bieży; pragniesz go odegnąć,
Aż orlém skrzydłem wilk macha;
Dość zgiń, przepadniej, wyrzecz i przeżegnać,
Wilk zniknie wrzeszcząc: cha cha cha!

Każdy podróżny oglądał te zgrozy,
I każdy musiał kląć drogę;
Ten złamał dyszel, ten wywrócił wozy,
Innemu zwichnął koń nogę.

Ja chociaż pomnę, nie raz Andrzej stary
Zaklinał, nie raz przestrzegał,
Śmiałem się z diabłów, nie wierzyłem
w czary,

Tamtędym jeździł i biegał.

Raz gdy do Ruty jadę w czas noclegu,
Na moście s końmi wóz staje,
Próżno woźnica przynagła do biegu,
Hej! krzyczy, biczem zadaje.

Stoją, a po tém skoczą s całej mocy,
 Dyszel przy samój pękł szrubie;
 Zostać na polu samemu i w nocy,
To lubię, rzekłem, to lubię!

Ledwiem dokończył, aż straszna martwica
 Wypływa z bliskich wód toni;
 Białe jój szaty, jak śnieg białe lica,
 Ognisty wieniec na skroni.

Chciałem uciekać, padłem załękniiony,
 Włos dębem stanął na głowie;
 Krzyknę: niech będzie Chrystus pochwalony!
 „Na wieki wieków“ odpowie.

„Ktokolwiek jesteś pocziwy człowieku,
 Coś mię zachował od męki;
 Dożyj ty szczęścia i późnego wieku,
 I pokój tobie i dzięki.

Widzisz przed sobą obraz grzesznej duszy,
 Wkrótce się niebem pochlubię;
 Boś ty czyscowej zbawił mię katuszy
 Tém jednym słówkiem *To lubię.*

Dopóki gwiazdy zejda, i dopóki
 We wsi kur piérwszy zapieje;
 Opowiem tobie, a ty dla nauki
 Opowiedz innym me dzieje.

Onego czasu żyłam ja na świecie,
 Maryła zwana przed laty;
 Ojciec mój piérwszy urzędnik w powiecie,
 Możny, pocziwy, bogaty.

Za życia pragnął sprawić mi wesele,
 A żem dostatnia i młoda,
 Zbiegło się zewsząd zalotników wiele,
 Posag wabił i uroda.

Mnóstwo ich marnéj pochlebiało dumie,
 I to mi było do smaku,
 Że kiedy w licznym kłaniano się tłumie,
 Tłumem gardziłam bez braku.

Przybył i Józio; dwudziestą miał wiosnę.
 Młody, cnotliwy, nieśmiały;
 Obce dla niego wyrazy miłosne,
 Choć czuł miłosne zapęły.

Lecz próżno nędzny w oczach prawie znika,
 Próżno i dzień i noc płacze;
 W boleściach jego dla mnie radość dzika,
 Śmiech obudzały rozpacz.

Ja pójdę! mówił ze łzami. — Idź sobie. —
 Poszedł i umarł z miłości;
 Tu nad rzeczulką w tym zielonym grobie
 Złożone jego są kości.

Odtąd mi życie stało się nie lube,
 Późne uczułam wyrzuty;
 Lecz ani sposób wynagrodzić zgubę,
 Ani czas został pokuty.

Raz, gdy się w północ z rodzicami bawię,
 Wzmaga się hałas, szum, świsty;
 Przyleciał Józio w straszliwej postawie,
 Jak potępieniec ognisty.

Porwał, uduślił gęszczą dymnych kłębow,
 W czyscowe rzucił potoki;
 Gdzie pośród jęku i zgrzytania zębów,
 Takie słyszałam wyroki:

»Wiedziałaś, że się spodobało Panu
Z męża ród tworzyć niewieści,
Na osłodzenie mężom złego stanu,
Na roskosz, nie na boleści.

Ty, jakbyś w piersiach miała serce z glazu,
Ani cię jęki ubodły,
Nikt nie uprosił słodkiego wyrazu
Przez łzy, cierpienia i modły.

Za taką srogość, długie, długie lata,
Dręcz się w czyscowej zagubie;
Póki mąż jaki z tamiecznego świata,
Nie powie na cię choć *lubie*.

Prosił i Józio niegdyś o to słowo,
Gorzkie łzy lał nieszczęśliwy;
Prośże ty teraz; nie łzą, nie namową,
Ale przez strachy i dziwy.«

Rzekł; mnie natychmiast porwały złe duchy.
Odtąd już setny rok minie;
W dzień męczą, na noc zdejmują łańcuchy,
Rzucam ogniste głębinie;

I w cerkwi, albo na Józia mogile,
 Niebu i ziemi obrzydła,
 Muszę podróżnych trwożyć w nocne chwile,
 Różne udając straszidła.

Idących w błota zawiodę lub w gaje,
 Jadącym konia uskubię;
 A każdy naklnie, nafuka, nałaje;
 Tyś pierwszy wyrzekł *to lubię*.

Za to ci spadnie wyroków zasłona,
 Przyszłość s pod ciemnych wskażę chmur;
 Ach! i ty poznasz Marylę; lecz ona
 Wtém na nieszczęście zapiał kur.

Skinęła tylko, widać radość z oczek,
 Mieni się w parę cieniuchną,
 Ginie, jak ginie bladawy obłoczek,
 Kiedy zefiry nań dmuchną.

Patrzę, aż cały wóz stoi na łące;
 Siadam, powoli strach mija;
 Proszę, za dusze w czyscu bolejące,
 Zmówić trzy Zdrowaś Marya.

REKAWICZKA.

POWIASTKA.

(s Szyllera.)

Chcąc bydz widzem dzikich bojów,
Już u zwierzyńca podwojów,
Król zasiada.
Przy nim xiążęta i panowie Rada;
A gdzie wzniosły krążył ganek,
Rycerze obok kochanek.

Król skinął palcem, zaczęto igrzysko,
Spadły wrzecządze; ogromne lwisko
Zwolna się toczy,
Podnosi czoło,
Milczkiem obraca oczy
W około,
I ziewy rozdarł straszliwie,
I kudły zatrząsł na grzywie,
I wyciągnął cielska brzemie
I obalił się na ziemię.

Król skinął znowu,
 Znowu przemknie się krata,
 Szybkiemi skoki, chciwy połowu
 Tygrys wylata.
 Spoziera zdala,
 I klami błyska,
 Język wywala,
 Ogonem ciska,
 I lwa dokoła obiega;
 Topiąc wzrok jaszczurczy,
 Wyje i burczy,
 Burcząc na stronie przylega.

Król skinął znowu;
 Znowu podwój otwarty,
 I z jednego zachowu
 Dwa wyskakują lamparty.
 Łakoma boju, para zajadła
 Już tygrysa opadła,
 Już się tygrys z niemi drapie,
 Już obudwu trzyma w łapie;

Wtém lew podniósł łeb do góry,
Zagrzmiał — i znowu cisze;
A dzicz s krwawemi pazury
Obiega.. za mordem dysze.
Dyszac na stronie przylega.

Wtém leci rękawiczka z krużganków
pałacu,
Z rączek nadobnej Marty,
Pada między tygrysa i między lamparty
Na środek placu.

Marta z uśmiechem rzecze do Emroda:
Kto mię tak kocha, jak po tysiąc razy
Czułemi przysięgł wyrazy,
Niechaj mi teraz rękawiczkę poda.

Emrod przeskoczył zapory,
Idzie pomiędzy potwory,
Śmiało rękawiczkę bierze;
Dziwią się panie, dziwią się rycerze.

A on w zwycięskiej chwale
 Wstępuje na krużganki,
 Tam od radosnej witany kochanki,
 Rycerz jój w oczy rękawiczkę rzucił:
 „Pani, twych dzięków nie trzeba mi wcale.“
 To rzekł i poszedł, i więcej nie wrócił.

PANI TWARDOWSKA.

BALLADA.

Jedzą, piją, lulki palą,
 Tańce, hulanka, swawola;
 Ledwie karczmy nie rozwałą,
 Cha cha, chi chi, hejże, hola!
 Twardowski siadł w końcu stoła,
 Podparł się w boki jak basza;
 Hulaj dusza! hulaj! woła;
 Śmieśzy, tumani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potrąca;
Świsnął szablą koło ucha,
Już z żołnierza masz zająca.

Na patrona s trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską pomału,
S patrona robi się kondel.

Szewcu w nos wyciął trzy szcutki,
Do łba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął, cmok, i gdańskiej wódki,
Wytoczył ze łba pół beczki.

Wtém gdy wódkę pił s kielicha,
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno: „co u licha?
„Po coś tu kumie zawitał?”

Diablik to był w wódce na dnie,
Istny Niemiec, sztuczka kusa;
Sklonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

S kielicha aż na podłogę
 Pada, rośnie na dwa łokcie;
 Nos jak haczyk, kurzą nogę,
 I krogulcze ma paznogie.

„A ... Twardowski ... witam bracie!”
 To mówiąc bieży obsesem:
 „Cóż to, czyliż mię nie znacie?
 Jestem Mefistofeilesem.

Wszak ze mnąś na łysiej górze
 Robił o duszę zapisy;
 Cyrograf na byczej skórze
 Podpisałeś ty, i bisy

Miały słuchać twego rymu;
 Ty, jak dwa lata przebiega,
 Miałeś pojechać do Rzymu,
 By cię tam porwać jak swego.

Już i siedem lat uciekło,
 Cyrograf nadal nie służy;
 Ty czarami dręcząc piekło,
 Ani myślisz o podróży.

Ale zemsta choć leniwa,
 Nagnała cię w nasze sieci;
 Ta karczma Rzym się nazywa.
 Kładę areszt na waszeci.“

Twardowski ku drzwiom się kwapił,
 Na takie dictum acerbum;
 Diabeł za kuntusz ułapił,
 „A gdzie jest nobile verbum?“

Co tu począć, kusa rada;
 Przyjdzie już nałożyć głowę.
 Twardowski na concept wpada,
 I zadaje trudność nową.

Patrz w kontrakt Mefistofilu,
 Tam warunki takie stoją:
 Po latach tylu a tylu,
 Gdy przyjdiesz brać duszę moją,

Będę miał prawo trzy razy
 Zaprządz ciebie do roboty,
 A ty najtwardsze rozkazy,
 Musisz spełnić co do joty.

Patrz oto jest karczny godło,
 Koń malowany na płótnie;
 Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
 A koń niech s kopyta utnie.

Skręć mi przytém biczyk z piasku,
 Żebym miał czém konia chłostać,
 I wymuruj gmach w tym lasku,
 Bym miał gdzie na popas zostać.

Gmach będzie z ziarnek orzecha,
 Wysoki pod szczyt Krępaku,
 Z bród żydowskich ma być strzecha
 Pobita nasieniem z maku.

Patrz oto na miarę ćwieczek,
 Cał gruby, długi trzy cale,
 W każde z makowych ziareczek
 Wbij mi takie trzy bratnale.

Mefistofil duchem skoczy,
 Konia czyści, karmi, poi;
 Potém bicz z piasku utoczy
 I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
 Probuje podskoków, zwrotów,
 Stępa, galopuje, klusa;
 Patrzy, aż i gmach już gotów,

No! wygrałeś, panie bisie;
 Lecz druga rzecz nieskończona,
 Trzeba skąpać się w téj misie;
 A to jest woda święcona.

Diabeł kureczy się i krztusi
 Aż zimny pot na nim bije;
 Lecz pan każe, sługa musi;
 Skąpał się biedak po szyję.

Wyleciał potem jak z procy,
 Otrząsł się, dbrum, parsknął raźnie.
 — Teraz jużes w naszej mocy,
 Najgorętszą odbył łaźnię. —

— Jeszcze jedno, będzie kwita,
 Zaraz pęknie moc czartowska;
 Patrzaj oto jest kobieta,
 Moja żoneczka Twardowska.

Ja na rok u Belzebuba
 Przyjmę za ciebie mieszkanie.
 Niech przez ten rok moja luba
 S tobą, jak z mężem zostanie.

Przysiąż jej miłość, szacunek,
 I posłuszeństwo bez granic;
 Złamiesz choć jeden warunek,
 Już cała ugoda za nic. —

Diabeł do niego pół ucha,
 Pół oka zwrócił do samki;
 Niby patrzy, niby słucha;
 Tymczasem już blisko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
 Od drzwi, od okien odpycha,
 Czmychnąwszy dziurką od klucza,
 Dotąd, jak czmycha tak czmycha.

T U K A J
ALBO
PRÓBY PRZYJAŹNI.
BALLADA
WE CZTERECH CZĘŚCIACH.

I.

„Ja umieram — ja nie płaczę,
I wy chciejcie ulżyć sobie;
Prędzej, później, legniem w grobie,
Nie wrócą na świat rozpacz.
Byłem panem mnogich włości,
Sławny potęgą i zbiorem;
Zamki me stały otworem,
Dla przyjaciół i dla gości.
O potęgo! o człowieku!
Wielkie zamki, wielkie imię;
Wielkie nic! wielkość, czyzy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku!

Gdy za mądrości widziałem
 Goniąc, zbiegam kraje cudze;
 Gdy wzrok nad sięgami trudzę,
 Skarbnice nauk posiadłem.
 O nauki! o człowieku!
 Wielka mądrość, wielkie imię,
 Wielkie nie! rozum, czy dymie!
 Ja umieram w kwiecie wieku.
 Strzegłem ustaw świętej wiary
 W duchu i serca prostocie;
 Hojnie nagrażalem cnocie,
 Kościołom niosłem ofiary!
 O pobożności! człowieku! *)
 Święta wiaro, święte imię;
 Święte nie! cnoto, czy dymie!
 Ja umieram w kwiecie wieku.
 Twórco! jakże igrasz srodze,
 Kiedy mi dasz wiek niedługi,
 Cóż, że mi dasz wierne sługi?
 Czémże za wierność nagrodzę?

*) Za te bluźnierstwa znajdzie czytelnik ukaranie
 w następujących balladach.

Dasz kochankę kochankowi;
 Śmierć truje ślubów słodycze.
 I tylu przyjaciół liczę!
 Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi!
 Tak na domowników ręku
 Tukaj, pośród skarg i jęku,
 Pożegnawszy świat na wieki,
 Gasnące zamknął powieki.

Wtém grom łamie szczyty dachu,
 Zadrżały zamkowe ściany,
 Jakowys starzec nieznany,
 Wlatuje na środek gmachu.
 Siwy włos okrył mu skronie,
 Twarz marszczkami rozorana,
 Broda długa za kolana,
 Na kosturze wsparte dłonie.
 „Tukaju!“ porwał s pościeli,
 I w. z za sobą iść każe;
 Już wierzehne sale minęli,
 Minęli wały i straże.

Idą; ciemno, dęszczyk krópi;
 A srebrzysta twarz miesiąca,
 To grubawe mgły roztrąca,
 To się znowu we mgle topi.
 Idą ponad trzęskie kępy;
 Mijają bagna, głębynie,
 Hnilicy ciemnej ostępy,
 Koldyczewa *) nurty sinie.
 Gdzie puszcza zarosła wkoło,
 Spodem czarna, z wierzchu płowa,
 Żwirami nasute czoło,
 Wynosi góra Żarnowa,
 Tam szli; starzec kląkł na grobie,
 Rozwarł usta, okiem błysnął,
 Podniósł w górę ręce obie,
 Trzykroć krzyknął, trzykroć świsnął.
 „Tukaju, patrz; oto ścieszka!
 Za ścieszką chatka na bagnie,
 W chatce mędrzec Polel mieszka,
 Mędrzec mędrca wspomódz pragnie.

*) Nazwisko jeziora.

Znana twa nauka, cnota;
 Znam, że Bóg węzły lubemi,
 Przywiązawszy cię do ziemi,
 Długiego nie da żywota.
 Ale rzucaj przestrach płony,
 Mych sposobów uznaj dzielność;
 Żyj dla sług, przyjaciół, żony,
 Lata, wieki, nieśmiertelność.
 Ja piérwszy, ziemskiemu oku
 Śmiem do niej pokazać drogę;
 Lecz podług ustaw wyroku,
 Dwom tylko pokazać mogę.
 Wybierz drugiego człowieka,
 Człowieka doznanej wiary,
 Któremubys w każdój probie,
 Tak zaufał, jak sam sobie?
 Trafisz, nieśmiertelność czeka!
 Chybisz, śmierć i wieczne kary.“
 „Starcze! twe zjawienia wieszczę
 Ciemna zasłona powleka.
 Powiedz?“ — „Powiadam ci jeszcze,
 Wybierz drugiego człowieka.

Radź się twój głowy i serca.

Idzie o ciało i duszę!

Wierny, albo przeniwierca,

Nieśmiertelność, lub katusze!...

Czy mógłbyś zwierzyć się słudze? "...

Tukaj, nie nie odpowiada,

Bo któż zgadnie myśli cudze?

Bo zbyt częsta w sługach zdrada.

— „Może kochance, lub żonie? „

— „Tak, „ — wtém uciał, patrzy smutnie;

— „Tak, „ rzecze, i znowu utnie.

Myśli, sam się z sobą biedzi;

— „Tak jest, kochance; tak, żonie! „

I wierzy i strach nań pada,

I wątpi, i wstydem płonie;

Myśli, sam się z sobą biedzi.

Umyślił, już w odpowiedzi,

Już... i nie nie odpowiada.

— „Umrzój więc! ty śmiałeś żądać?

Daj pokój żądaniom dzikim,

Ty nie masz usności w nikim;

Wartoż dłużej świat oglądać? „

— On myśli. — Nikogóż z wielu?

Sługi, żony, przyjaciela? —

On myśli. Tu w mgnieniu oka,
Czerni się niebios sklepienie,
Słychać grzmienie, ziemi drżenie,
Kipią bagna, lasy gorą,
Niknie w płomieniach opoka,
I doliny i jezioro.

Śród gromów, świstu i szczęku,
Czyto zły duch, czy moc Boża,
Tukaj znalazł się śród łoża,
Na swych domowników ręką.

Głos tylko zagrzmiął zdaleka:

„Niemasz drugiego człowieka,

Któremubys w każdej próbie,

Tak zaufał, jak sam sobie!”

II.

„Ja mam, ja mam przyjaciela!“

Konający Tukaj woła;

Wraz uchodzi bladość z czoła,

Iskrą zdrowia oko strzela.

Tukaj wydarty mogile,

Wstaje: dziwią się doktory;

Wstaje, chodzi o swój sile,

Jakby nigdy nie był chory.

A wtém na poduszce z boku,

Ujrzy z wolój skóry karty,

Gdzie tajemnice wyroku,

Przekłète spisały czarty.

Tukaj s ciekawością chwytą,

Siada, podparł się, i czyta:

„Kiedy miesiąc na młodziu,

Idź za górę do gaiku,

Znajdziesz kamień; s pod kamienia,

Białego urwiej korzenia.

Kiedy będziesz bliski śmierci,

Każ ciało posiec na ćwierci,

W wodzie zgotować korzonki,
 Pocięte namaścić członki;
 Znowu się duch s ciałem zrośnie,
 W młodocianej wstaniesz wiosnie,
 I możesz skutkiem tych leków,
 Umiierać, wstawać, wiek wieków.“

Dalej tam były przestrogi,
 Jak siekać głowę, jak nogi;
 W jakiej wodzie smażyć trunek,
 Po jakiej brać zioła szczypcie,
 Ale na końcu w postskrypcie,
 Taki dodano warunek:

„Jeśli użyty ktoś drugi,
 Do namaszczałnej posługi,
 Zwiedzion przez nasze fortele,
 Innemu pokaże ziele;
 Lub w oznaczonej godzinie,
 Twego ciała nie namaści;
 Wtenczas skutek zioła zginie,
 Wtenczas piekło czeka waści.
 Jeśli na to się ośmielisz,
 Dla znaku że zaszła zgoda,

Nasz poseł Mefistofelisz,
 Do wymiany traktat poda.
 Ostrzeżyliśmy o fortelach,
 Strzeż się; potem próżny kweres.
 Dan w Erebie, w szabas rano,
 Własną ręką podpisano;
 Tak ma stać się: Lucyferes.
 A za zgodność: Hadramelach.*
 Tukaj trochę się zagniewał,
 Warunku się nie spodziewał:
 Brodę na rękę opiera,
 Potarł czoło, skrzywił nosa,
 Na kontrakt spojrzzał z ukosa;
 Tabaczki dwa razy zażył;
 To na ziemię spuszcza oczy,
 To po stolowaniu toczy.
 Wziął pargamin, w rękę zważył;
 Znowu nań zézem poziéra,
 Znowu czytał i odczytał,
 Znowu zważył, znowu zmierzył,
 Kułakiem o stół uderzył,
 Westchnął, mruczał, zębem zgrzytał;

Ręce nad czoło zakłada,
Skoczył raptem i w zapędzie,
Machnął ręką: „niech tak będzie!”
Znowu umilkł, znowu siada;
Znowu myśli, znowu wstaje;
Znowu chodzi, znowu siada;
Niech go za to nikt nie łaje,
Bo z diabłami rzecz nie lada.

Myśli: albo wieczne życie,
Albo wiecznie diabłu dusza.
Nie nie mówi, myśli skrycie,
Tylko trochę wargą rusza.

Nadszedł już czas odpowiedzi;
Tukaj oddala się s tłumu,
I do pracowni rozumu,
Zamknąwszy się jeden siedzi,
I tam swój traktat raz jeszcze,
Nim stępel przyjęcia zyska,
W surowej uwagi kleszcze
Bierze i porządnie ściska,
Tam myśl rozmaita ścieka
W jedne podobieństwa tętnie,



Tam jedną myśl niedościgle,
 Różnicy nożykiem sieka;
 Sieka, topi, naksztalt wosku,
 Aż wycisnął ekstrakt wniosku.
 Obejrzawszy wniosek ściśle,
 Tak rzekł, po długim namyśle:
 „Jakieżkolwiek te fortele,
 O których słyszałem z góry,
 Czy ich nie wiele, czy wiele,
 Trojakićj będą natury.
 Chcąc kogo przywieść do zdrady,
 Trzeba siły, albo rady;
 Albo podarunkiem skusić,
 Albo strwożyć, albo zmusić.
 Toż samo krótszemi słowy,
 Będzie syllogizm takowy:
 Trojaka do zguby droga,
 Ciekawość, łakomstwo, trwoga.
 Więc kto w tym trojakim względzie
 Twardój nie ulegnie próbie;
 Takiemu już można będzie
 Ufać, jak samemu sobie.“

Tukaj kontent z wynalazku,
Szuka atramentu, piasku,
Idzie kreślić pismo grzechu;
Ale idzie bez pospiechu.
Już ciemno; pisać nie wcześniej;
W atramencie jakieś plesnie;
Dwie świece musiał zapalać,
I dwa kałamarze nalać.
Coś go zabolalo w łokciu;
Wziął pióro, na piórze włoszek,
I bardzo spisany nosek;
Otrząsł, przyciął na paznociu.
Po długim względzie, rozględzie,
Wreszcie pisze: NIECH TAK BĘDZIE
Chciał dołożyć i nazwisko,
Lecz nim pierwsze T napisał,
Myślał pół godziny blisko,
Głową i piórem kołysał,
I nie więcéj nie napisał;
Tylkò do pierwszój litery,
Dodał małe kropki cztery.

Gdy już napisane widzi,
 Jeszcze patrzy, jeszcze bada;
 Niechaj z tego nikt nie szydzi,
 Bo z diabłami rzecz nie lada.

Lecz jakże się musiał zdumieć,
 Gdy głoska B, w słowie BĘDZIE,
 Zaczęła brzęczeć i szumić,
 I wzdymać wszystkie krawędzie.
 Kręci się, beczy, podраста,
 Jak na drożdżach kawał ciasta!
 Dolna litery połowa
 Wykurcza się w brzuch i żebra;
 U zwierzechniej wypukła głowa,
 Na kształt ogromnego cebra.
 Szyjka jak u osy wąska,
 Nosik orla, bródka kozła,
 A z jednej ją strony końska,
 Z drugiej kurza łapka wiozła;
 Pogląda okiem wołowém.
 Skrzydła na kształt młyńskich wioseł,
 Był to diabeł jedném słowem,
 Był to Mefistofel poseł.

Jeszcze Tukaj nie mógł wiedzieć,
 Czy żegnać, czy prosić siedzieć;
 Kiedy przyskoczył zuchwalec,
 Porwał za małego palec,
 Zasadził nożyk pod skórka,
 I umoczył we krwi piórko;
 Piórko wścibił, ścisnął w rękę,
 Ręką wodzi pomaleńku.
 Gdy już U, K, A, J, minął,
 Zrobiło się całkiem TUKAJ.
 Diabeł świsnął, chychnął, zginął,
 Terazże z nim ładu szukaj.

(Dalsze Ballady o Tukaju w następnych tomikach.)

L I L I E.
BALLADA.

(s pieśni gminnej.)

Zbrodnia to niesłychana,
Pani zabija pana;
Zabiwszy grzebie w gaju,
Na łączce przy ruczaju;
Grób lilią zasiewa,
Zasiewając tak śpiewa:
 Rośnij kwiecie wysoko,
 Jak pan leży głęboko;
 Jak pan leży głęboko,
 Tak ty rośnij wysoko.
Potém cała skrwawiona
Męża zbójczyni żona,
Bieży przez łąki, przez knieje,
I górą i dołem i górą;
Zmrok pada, wietrzyk wieje;
Ciemno, wietrzno, ponuro.

Wrona gdzie niegdzie kracze,
I puhają puhacze.

Bieży w dół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika,
Stuk stuk, stuk stuk.

Kto tam? spadła zapora.
Wychodzi starzec, świeci;
Pani nakszałt upiora,
S krzykiem do chatki leci.
Ha! ha! ssiniałe usta,
Oczy przewraca w słup,
Drżąca, zbladła jak chusta:
Ha! mąż, ha! trup!

Niewiasto Pan Bóg z tobą,
Co ciebie tutaj niesie,
Wieczorną słotną dobą,
Co robisz sama w lesie?

Tu za lasem, za stawem,
Byszcza mych zamków ściany,
Mąż s królem Bolesławem
Poszedł na Kijowiany.

Lato za latem bieży,
 Niémasz go z bojowiska;
 Ja młoda śród młodzieży,
 A droga cnoty śliska!
 Nie dochowałam wiary,
 Ach! biada mojej głowie!
 Król srogie głosi kary;
 Powrócili mężowie.

Ha! ha! mąż się nie dowie!
 Oto krew! oto nóż!
 Po nim już, po nim już!
 Starcze wyznałam szczerze.
 Ty głos świętymi usty,
 Jakie mówić pacierze,
 Gdzie mam iść na odpusty.
 Ach pójdę aż do piekła,
 Zniosę bicze, pochodnie,
 Byleby moję zbrodnię
 Wieczysta noc powlekła.
 Niewiasto, rzecze stary,
 Więc ci nieżał rozboju:
 Ale tylko strach kary?

Idźże sobie w pokoju;
Rzuć bojaźń, rozjaśń lica,
Wieczna twa tajemnica.
Bo takie sądy boże,
Iż co ty zrobisz skrycie,
Mąż tylko wydać może;
A mąż twój stracił życie.

Pani z wyroku rada,
Jak wypadła, tak wypada;
Bieży nocą do domu,
Nic nie mówiąc nikomu.
Stoją dzieci przed bramą,
„Mamo, wołają, Mamo!
A gdzie został nasz tato?“
„Nieboszczyk? co? wasz tato!“
Nie wie, co mówić na to.
„Został w lesie za dworem,
Powróci dziś wieczorem.“

Czekają wieczór dzieci;
Czekają drugi, trzeci,
Czekają tydzień cały;
Nareszcie zapomniały.

Pani zapomnieć trudno,
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu,
Nigdy snu na żrzenicy!
Bo często w nocnej porze,
Coś stuka się na dworze,
Coś chodzi po świetlicy.
Dzieci, woła: to ja to,
To ja, dzieci, wasz tato!

Noc przeszła, zasnąć trudno,
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu.

Idź Hanko przez dziedziniec,
Słyszę tentent na moście,
I kurzy się gościniec;
Czy nie jadą tu goście.
Idź na gościniec i w las,
Czy kto nie jedzie do nas?

Jadą, jadą w tę stronę,
Tuman na drodze wielki,

Rzą, rzą koniki wrone,
Ostre błyszczą szabelki.
Jadą, jadą panowie,
Nieboszczyką bratowie!

A witajże! czyś zdrowa,
Witajże nam bratowa!
Gdzie brat? — Nieboszczyk brat,
Już pożegnał ten świat. —
Kiedy? — Dawno; rok minął;
Umarł... na wojnie zginął. —
„To kłamstwo, bądź spokojna,
Już skończyła się wojna;
Brat zdrowy i ochoczy,
Ujrzysz go na twe oczy.“

Pani ze strachu zbladła,
Zemdlała i upadła;
Oczy przewraca w slup,
S trwogą do koła rzuca.
„Gdzie on? gdzie mąż? gdzie trup?“
Powoli się ocuła.
Mdląca niby z radości
I pytała u gości:

„Gdzie mąż, gdzie me kochanie,
Kiedy przedemną stanie? „

„Powracał razem z nami,
Lecz przodem chciał pośpieszyć;
Nas przyjąć z rycerzami,
I twoje lzy pocieszyć.
Dziś, jutro, pewnie będzie,
Pewnie kędyś w oblędzie
Ubite minął szlaki.

Zaczekajmy dzień jaki,
Poszlemy szukać wszędzie,
Dziś, jutro pewnie będzie.“

Posłali wszędzie sługi,
Czekali dzień i drugi,
Gdy nic nie doczekali,
S płaczem chcą jechać dalij.

Zachodzi drogę pani;
„Bracia moi kochani,
Jesień zła do podróży;
Wiatry, słoty i deszcze,
Wszak czekaliście dłużej,
Czekajcie trochę jeszcze.“

Czekają. Przeszła zima,
 Brata niema i niema.
 Czekają; myślą sobie:
 Może powróci z wiosną?
 A on już leży w grobie;
 A nad nim kwiatki rosną,
 A rosną tak wysoko,
 Jak on leży głęboko.
 I wiosnę przeczekali,
 I już nie jadą dalij.

Do smaku im gospoda,
 Bo gospodyni młoda;
 Że chcą jechać udają,
 A tymczasem czekają,
 Czekają aż do lata,
 Zapominają brata.

Do smaku im gospoda,
 I gospodyni młoda.
 Jak dwaj u niej gościli,
 Tak ją dwaj polubili.
 Obu nadzieja łechce,
 Obadwaj zjęci trwoga,

Żyć bez niej żaden niechce,
 Żyć z nią obaj nie mogą;
 Wreszcie na jedno zdani,
 Idą razem do pani.

„Słuchaj, pani bratowo,
 Przyjm dobrze nasze słowo.
 My tu próżno siedzimy,
 Brata nie zobaczymy.
 Ty jeszcze jesteś młoda,
 Młodości twojej szkoda.
 Nie wiąż dla siebie świata;
 Wybierz brata za brata.“

To rzekli i stanęli,
 Gniew ich i zazdrość piecze,
 Ten, to ów okiem strzeli,
 Ten, to ów słówko rzecze;
 Usta sine przycięli,
 W rękę ściskają miecze.

Pani ich widzi w gniewie,
 Co mówić, sama nie wie.
 Prosi o chwilkę czasu,
 Bieży zaraz do lasu.

Bieży w dół do strumyka
 Gdzie stary rośnie buk,
 Do chatki pustelnika,
 Stuk stuk, stuk stuk;
 Całą mu rzecz wyklada,
 Pyta się, co za rada?

„Ach jak pogodzić braci,
 Chcą mojej ręki oba;
 Ten i ten się podoba;
 Lecz kto weźmie? kto straci?
 Ja mam maleńkie działki,
 I wioski i dostałki,
 Dostatek się zmitręża,
 Gdy zostałam bez męża.
 Lecz ach! nie dla mnie szczęście!
 Nie dla mnie już zamęście!
 Boża nademną kara,
 Ściga mię nocna mara;
 Zaledwie przymknę oczy,
 Traf, traf, klamka odskoczy;
 Budzę się, widzę, słyszę,
 Jak idzie i jak dysze,

Jak dysze i jak tupa,
 Ach widzę, słyszę trupa!
 Skrzyp, skrzyp, i już nad łóżem,
 Skrwawionym sięga nożem;
 I iskry z gęby sypie,
 I ciągnie mię i szczypie.
 Ach dosyć, dosyć strachu,
 Nie siedzieć mnie w tym gmachu,
 Nie dla mnie świat i szczęście,
 Nie dla mnie już zamęście!“

„Córko, rzecze jój stary,
 Niemasz zbrodni bez kary.
 Lecz jeśli szczerą skrucha,
 Zbrodniarzów Pan Bóg słucha.
 Znam ja tajnie wyroku,
 Miłą ci rzecz obwieszczę;
 Choć mąż zginął od roku,
 Ja go wskrzeszę dziś jeszcze.“

„Co, co? jak? mój ojciec!
 Nie czas już, ach nie czas!
 To żelazo zabójcze,
 Na wieki dzieli nas!“

Ach znam, żem warta kary,
 I zniosę wszelkie kary,
 Byle się pozbyć mary.
 Zrzekę się mego zbioru,
 I pójde do klasztoru,
 I pójde w ciemny las.
 Nie, nie wskrzeszaj, mój ojcze!
 Nie czas już, ach nie czas!
 To żelazo zabójcze,
 Na wieki dzieli nas! «

Starzec westchnął głęboko,
 I łzami zalał oko,
 Oblicze skrył w zasłonie,
 Drżące załamał dłonie.
 »Idź za mąż póki pora,
 Nie lękaj się upiora.
 Martwy się nie ocuci,
 Twarda wieczności brama;
 I mąż twój nie powróci,
 Chyba zawołasz sama. «

»Lecz jak pogodzić braci?
 Kto weźmie, a kto straci? «

„Najlepsza będzie droga,
Zdać się na los i Boga.
Niechajże z ranną rosą
Pójdą i kwiecie zniosą.
Niech każdy weźmie kwiecie,
I wianek tobie splecie,
I niechaj doda znaki,
Żeby poznać czyj jaki?
I pójdzie w kościół boży,
I na ołtarzu złoży.
Czyj pierwszy weźmiesz wianek,
Ten mąż twój, ten kochanek.“

Pani s przestrogi rada,
Już do małżeństwa skora,
Nie boi się upiora;
Bo w myśli swój układa,
Nigdy w żadnej potrzebie
Nie wołać go do siebie.
I s tych układów rada,
Jak wpadła, tak wypada.
Bieży prosto do domu,
Nic nie mówiąc nikomu.

Bieży przez łąki, przez gaje,
I bieży i staje.

I staje, i myśli, i słucha:

Zda się że ją ktoś goni,

I że coś szepce do niej,

W okolo ciemność głucha:

„To ja, twój mąż, twój mąż!”

I staje, i myśli, i słucha.

Słucha, zrywa się, bieży,

Włos się na głowie jeży,

W tył obejrzeć się lęka,

Coś wciąż po krzakach stęka,

Echo powtarza wciąż:

„To ja, twój mąż, twój mąż!”

Lecz zbliża się niedziela,

Zbliża się czas wesela.

Zaledwie słońce wschodzi,

Wybiegają dwaj młodzi,

Pani wśród dziewic grona

Do ślubu prowadzona,

Wystąpi wśród kościoła

I bierze pierwszy wianek,

Obnosi go dokoła;
 „Oto w wieńcu lilie,
 Ach czyjeż to są, czyje?
 Kto mój mąż? kto kochanek?“

Wybiega starszy brat,
 Radość na licach płonie,
 Skacze i klaszcze w dłonie,
 „Tyś moja, mój to kwiat!
 Między lilii kręgi,
 Upłotłem wstążek, zwój,
 To znak, to moje wstęgi!
 To mój, to mój, to mój!“

„Kłamstwo!“ drugi zawoła,
 „Wyjdźcie tylko s kościoła,
 Miejsce widzieć możecie,
 Kędy rwałem to kwiecie.
 Rwałem na łączce w gaju,
 Na grobie przy ruczaju,
 Okażę grób i zdroj,
 To mój, to mój, to mój!“

Kłóćą się zli młodzieńce,
 Ten mówi, ten zaprzecza;

Doby
 Wsz
 Szar
 „To
 V
 Wia
 Wch
 Znan
 Staje
 Staje
 Podz
 „Mój
 Kwie
 Mnie
 Zła z
 To j
 Zli b
 Z me
 Zaw
 To j
 Wy
 Daléj
 Mickie

Dobyli s pochew miecza,
 Wszczyna się srogi bój;
 Szarpią do siebie wieńce,
 „To mój, to mój, to mój!”

Wtém drzwi kościoła trzaśły,
 Wiatr zwiął, świeće zagasły,
 Wchodzi osoba w bieli,
 Znany chód, znana zbroja,
 Staje; wszyscy zadrżeli;
 Staje, patrzy ukosem,
 Podziemnym woła głosem;
 „Mój wieniec, i ty moja!
 Kwiat na mym rwany grobie,
 Mnie xiężę stulą wiaż;
 Zła żono, biada tobie!
 To ja, twój mąż, twój mąż!
 Żli bracia, biada obu!
 Z mego rwaliście grobu!
 Zawieście krwawy bój.
 To ja, twój mąż, wasz brat,
 Wy moi, wieniec mój;
 Dalej na tamten świat!”

Wstrzęsła się cerkwi posada,
Z zrębu wysuwa się zrąb;
Sklep trzeszczy, głąb zapada,
Cerkiew zapada w głąb.
Ziemia ją z wiérzchu kryje,
Na niej rosną lilie,
A rosną tak wysoko,
Jak pan leżał głęboko.

D U D A R Z.

ROMANS.

(*Myśl s pieśni gminnej.*)

Jakiż to dziadek, jak gołąb' siwy,
S siwą aż do pasa brodą;
Dwaj go chłopczyki pod rękę wiodą,
Wiodą mimo naszej niwy.

Starzec na lirze brząka i nóci,
 Chłopcy dmą w dудeczki s piórek;
 Zawołam starca, niech się powróci
 I przyjdzie pod ten pagórek.

Powróć się starcze tu na igrzysko,
 Tu się po siewbie weselim;
 Co nam dał Pan Bóg, tém się podzielim,
 I do wsi na noc stąd blisko.

Posłuchał, przyszedł, skłonił się nisko,
 I usiadł sobie pod miedzą;
 Przy nim po bokach chłopczyki siedzą,
 Patrząc na wiejskie igrzysko.

Tu brzmią piszczalki, biją bębenki,
 Płoną stósy suchych drowek;
 Piją staruszki, skaczą panienki,
 Obchodząc święto dosiewek.

Milczą piszczalki, głuchną bębenki,
 Porzuca ogień gromadka;
 Biegą staruszki, biegą panienki,
 Biegą do dudarza dziadka.

„Witaj dudarzu, witamy radzi,
W wesołej przychodzisz dobie:
Pewnie zdaleka Pan Bóg prowadzi,
Pogrzej się i spoczniej sobie.“

Wiodą gdzie ogień, gdzie stół z murawy,
Sadzą dudarza pośrodku;
„Może pozwolisz na trochę strawy,
Albo na szklaneczkę miodku?“

Widzim i lirę, widzim piszczałki,
Zagraj, co nam samotrzeci;
Napelnim za to tłomok, kobiałki,
I będziemy wdzięczni waszeci.“

„No! stójcież cicho,“ rzekł do gromadki;
„Cicho!“ powtarza, w dłoń klaska;
„Jeżeli chcecie, zagram wam dziatki;
A cóż wam zagrać?“ — „Co łaska.“

Wziął w ręce lirę i szklanę sporą,
Miodem pierś starą zagrzewa,
Mrugnął na chłopców, ci dudki biorą,
Brząknął, nastroił i śpiewa:

„Idę ja Niemnem, jak Niemen długi,

„Od wioseczki do wioseczki,

„Z borku do borku, s smugów na smugi,

„Śpiewając moje piosneczki.

„Wszyscy się zbiegali, wszyscy słuchali,

„Ale nikt mię nie rozumie;

„Ja lzy ocięram, westchnienia tłumię,

„I idę dalej a dalej.

„Kto mię zrozumie, ten się użali,

„I w białe uderzy dłonie;

„Uroni łezkę, i ja uronię,

„Ale już nie pójdę dalej.”

A wtém grać przestał; nim znowu zacznie,

Przelotem spojrzzał po błoni;

Lecz w jedną stronę spoziera bacznie;

Któż tam stoi na ustroniu?

Stała pasterka i plotła wieniec;

To uplecie, to rozpłecie;

A obok przy niej stoi młodzieniec,

I splecione przyjął kwiecie.

Spokojność duszy z jęj widać czola;
 Ku ziemi spuszczone oko.
 Nie była smutna ani wesoła,
 Tylko coś myśli głęboko.

Jak puszkciem chwije trawka zielona,
 Choć wiatr przestanie oddychać;
 Tak się na piersiach chwije zasłona,
 Chociaż westchnienia nie słyhać.

Wtém s piersi listek żółkły odepnie,
 Listek nieznanego drzewa;
 Spojrzy nań, rzuci, i s cicha szepnie,
 Jakby się na listek gnięwa.

Odwraca głowę, odeszła nieco,
 Podniosła w niebo żrzenice;
 Nagle na oczach łezki zaświecą,
 I róż wystąpił na lice.

A dudarz młeczy, brząka powoli,
 A wzrok utopił w pasterce;
 Utopił w licu, lecz wzrok sokoli
 Zdał się przedzięrać aż w serce.

Znowu wziął lirę i spory dzbanek,
Miodem pierś starą zagrzewa;
Skinął na chłopców, ci do multanek,
Brząknął, nastroił, i śpiewa:

„Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilii i tymianka?
Ach! jak szczęśliwy młodzieniec,
Komu ślubny splatasz wieniec.
Pewnie dla twego kochanka?
Wydają łyzy i rumieniec,
Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilii i tymianka.

Jednemu oddajesz wieniec,
Z róż, lilii i tymianka;
Kocha cię drugi młodzieniec,
Ty jednemu oddasz wieniec;
Zostawże łyzy i rumieniec
Dla nieszczęsnego kochanka;
Gdy szczęśliwy bierze wieniec,
Z róż, lilii i tymianka.“ *)

*) Te tryolety wyjęte są z poezyj Tomasza Zana.

Na to szmer powstał, różne pogłoski
 Pomiędzy ciżbą przytomną.
 Tę piosenkę śpiewał ktoś z naszej wioski,
 Lecz kto i kiedy nie pomną.

Starzec ucisza, podnosi rękę,
 „Słuchajcie dzieci,“ zawoła:
 „Powiem, od kogo mam tę piosenkę,
 Może on był s tego siola.

Kiedym wędrując przez kraje cudze
 Królewiec zwiedził przechodem,
 Wtenczas przy płynął z Litwy na strudze
 Pastérz jakiś s tych stron rodem.

Smutny był bardzo, ale przyczyny
 Smutku nie mówił nikomu;
 Odbił się potém od swój družyny
 I nie wrócił do domu.

Często widziałem, czy świecą zorza,
 Czyli siężyc w pełnym blasku,
 Jak on po błoniach, albo u morza
 Po nadbrzeżnym błądził piasku,

Pośród skał nieraz, podobny skale,
Na deszczu, wietrze i chłodzie,
Odludny dumał, wiatrom swe żale,
A lzy powierzając wodzie.

Szedłem ku niemu, spozierał smutnie
Ale odemnie nie stronił,
Jam nic nie mówiąc nastroił lutnię,
Zaśpiewał, w strony zadzwonił.

Lzy mu się rzucą, lecz skinął czołem,
Że się to granie podoba;
Ścisnął za rękę, ja go ścisnąłem
I zapłakaliśmy oba.

Poznaliśmy się lepiej nawzajem
I byliśmy przyjaciela.
On zawsze milczał swoim zwyczajem,
I ja mówiłem nie wiele.

Potem, gdy troską strawiony długą,
Już nie mógł rady dać sobie;
Ja towarzyszem, ja byłem sługą,
Jam go pilnował w chorobie.

Nędzny w mych oczach gasnął powoli,
Raz mię przywołał do łoża;
„Czuję,” rzekł, „bliski koniec niedoli,
Niech się spełni wola boża.

Zgrzeszyłem tylko, że moje lata
Tak się nadaremnie starły;
Ale bez żalu schodzę ze świata,
Dawno już na nim umarły.

Kiedy mnie skał tych dziki zakątek,
Ukrył przed gminu obliczem,
Odtąd już dla mnie świat ten był niczém;
Żyłem na świecie pamiątek.

„Ty coś mi wiernym został do grobu,”
Kończył, ściskając za ręce:
„Nagrodzić tobie nie mam sposobu,
Wszakże to, co mam poświęcę.

Znasz piosnkę, którą po tyle razy
Śpiewał, płacząc nad mym losem;
Pomnisz zapewne wszystkie wyrazy,
I wiesz jakim śpiewać głosem.

Mam jeszcze z białych włosów zawiązkę,
I zeschnięty cyprysu listek;
Naucz się piosnki, weź tę gałązkę,
To mój na ziemi skarb wszystek.

Idź, może znajdziesz na brzegach Niemna,
Tę, której już nie obaczę;
Może jej piosnka będzie przyjemna,
Może nad listkiem zapłaczę.

Nagrodzi starca, do domu przyjmie,
Powiedz... " Wtém oko ściemniało,
A w ustach Panny Najświętszej imię,
W pół wymówione zostało.

Silił się jeszcze, i w samym skonie,
Naprawdę coś wyrzec żądał.
Wskazał ku sercu i ku tej stronie,
Na którą żyjąc poglądał. —

Tu przerwał dudarz i szukał okiem
Dostając listek s papiérka;
Lecz już nie była między natłokiem
Ta, której szukał, pastérka.

Zdaleka tylko poznał sukienkę,
 Bo w chustce skryła twarz boską;
 Jakiś młodzieniec wiódł ją pod rękę,
 Już ich nie widać za wioską.

Przybiegła zgraja, gdzie starzec siedział.
 Co to jest, wszyscy pytają;
 On nic nie wiedział, może i wiedział,
 Ale nie mówił przed zgrają.

WIERSZE RÓŻNE.

THE
JOURNAL
OF THE
SOCIETY OF
THE HISTORY OF
THE
CITY OF
NEW-YORK

For the year ending
at the close of the
year 1851
The following names
were elected to the
office of Secretary
for the year 1851
The following names
were elected to the
office of Treasurer
for the year 1851
The following names
were elected to the
office of Librarian
for the year 1851
The following names
were elected to the
office of Corresponding
Secretary for the
year 1851
The following names
were elected to the
office of Recording
Secretary for the
year 1851
The following names
were elected to the
office of Auditors
for the year 1851
The following names
were elected to the
office of Managers
for the year 1851

H Y M N

NA DZIEŃ ZWIASTOWANIA N. P. MARYI.

POKŁON przeczystej rodzicy!
 Nad niebiosą twoje skronie,
 W gwiazdzistych wieńcach płonie,
 Jehowie na prawicy.

Ninie, dzień tobie uświęcamy wierni,
 Śród twego błysniej kościoła;
 Oto na ziemię złożone czoła,
 Oto śród niemój bojaźnią czerni,
 Powstaje prorok i woła:
 Uderzam organ twój chwale;
 Lecz z bóstwa idzie godne bóstwa pienie.
 Śród twego błysniej kościoła!
 I spuść anielskie wejście!
 Duchy me bóstwem zapalę,
 Głosu mi otwórz strumienie:

A zagrmię pierśią, jaką Cheruby
Zagrmią światu na skonanie,
Gdy proch zapadły w wieków otchłanie,
Ze snu nicości wybiją;

Takim grzmiotem twoje chluby,
Gdzie piekło, gdzie gwiazdy świecą,
Nieskończoność niech oblecą,
Wieczność przeżyją?

— A któż to wschodzi? Wschodzi na Syon
dziewica;

Jak ranek z morskiej kąpieli
I jutrznia Maryi lica;
Śnieży się oblok, słońce z ukosa
Smugiem złota po nim strzeli;
Taka na śniegu, co szaty bieli,
Powiewnego jasność włosa.

Pojrzał Jehowah, i w Nię upodobał
sobie;

Pękły niebios zwierciadła,
Biała gołąbka spadła,
I nad Syonem w równi trzyma skrzydła obie,

I srebrzystej pierzem tęczy,
Niebianki skronie uwięczy.

Grom, błyskawica!

Stań się, stało;

Matką dziewica,

Bóg ciało!

ŻEGLARZ.

O morze zjawisk! skąd ta noc i ślota!
Była jutrznia i cisza, gdym był bliski brzegu!
Dziś jakie fale, jaki wicher miota!
Niemożna płynąć, cofnąć niepodobna biegu!
A więc porzucić korab' żywota?

Szczęśliwy, czyjś przewodniczą łodzi,
Cnota i Piękność, niebieskie siostrzyce!
Gdy się noc zgęszcza, wzmagają powodzi,
Ta pułkar daje, ta odsłania lice,
Tamtęj widok oświeca, a tój nektar słodzi.

Szczęśliwy, kto i samój ulubował Cnocie,
 Dopłynie kędy sławy góruje opoka,
 Balsam go rzymski ukrzepi w ochocie;
 Ale jeżeli Piękność nie zwróci nań oka,
 Dopłynie we krwi i w pocie.

A komu Piękność całe pokaże oblicze,
 Potém śród drogi zdradliwa odlata,
 Nadziei z sobą mary unosząc zwodnicze;
 Ach jakaż późnziej czczość w obszarach świata!
 Już niedość krzepią i Cnoty słodycze.

Zamiast Piękności niebieskiego wschodu,
 Walczyć z ustawną burzą, jęczeć pośród
 cienia,

Zamiast serc czułych, trącać o pierś z lodu,
 Zamiast jej rączek, chwytac za ręce kamienia,
 I długo śród takiego nie ustać zawodu?

Zawód tak trudny! zakończyć tak snadnie!
 Nie będziem dłużej ćmieni, więcej kołatani.
 Lecz wszystkoż z nami w tych falach prze-
 padnie?

Czyli kto raz wrzucony do bytu otchłani,
 Nie zdoła z niej wylecieć, ani zginąć na dnie?

Co żyje, nieknie — tak na mnie świat wola.
Za cóż głos ten wewnętrznej wiary nie
wziębi,

Że gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła,
I raz rzucona krąży po niezmiernej głębi,

Póki czas wieczne toczyć będzie koła.

Któż to krzyknął do ładu? jakie słysząc
żale?

Wyż to, o bracia moi, przyjaciele moi,
Dotąd stoicie na nadbrzeżnej skale?

I tak się oko wasze znudzenia nie boi,

Że aż dotąd patrzycie na mnie i me fale?

Jeśli się rzucę, kędy rozpacz ciska,
Będą lzy na szaleństwo, na niewdzięczność
skarga,

Bo wam mniej widne te czarne chmurzyska,
Nie slychać zdala wichru, co tu liny targa:

Grom co tu bije, dla was tylko błyska.

I razem ze mną pod strzałami gromu,
 Co czuję, inni uczuć chciałiby daremnie!
 Sąd nasz, prócz Boga nie dany nikomu.
 Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być,
 — Ja płynę dalej, wy idźcie do domu.

Roku 1821. Kwietnia 17.

W A R C A B Y.
 DO FRANCISZKA.

Franciszku, dosyć prawne roztrząsać się-
 garnie,
 Niech je pył zasłużony choć na czas ogarnie;
 Rzuć słabości i niecnót przeglądać obrazy.
 W naturze ziemskiej pilnie wszystkie liczyć
 skazy,
 Zbyt to są dla ułomnych smutne widowiska;
 Serce z nich nie nie czerpa, choć rozum coś
 zyska.

Inna jest żyć bez zbrodni, inna poznać zbro-
dnie;

Często i prawodawca nie był s prawem zgo-
dnie.

Lokryjczyk wbrew statutom, które sam
uchwala,

Ojcowskie karał oko za grzechy synała.

I ten, co zakon wyrył na głazach dwunastu.
Zgwałcenia jego pierwszy daje przykład
miastu.

Ale po cóż umarłe mam wołać przykłady?
Silniejszém jest natura mojej wsparciem rady.
Choć prawo siedzi w mieście, prawość na
wsi mieszka;

Nie marmur, lecz zielona wiedzie do niej
ścieszka.

Myśmy że wsi nie mędrsi, może lepsi wysli.
Bieźmy tam: kto się bawi, ten o złém nie
myśli.

A jeśli niedojrzałej wiosny słotna pora,
Lub skwar nas w domu zamknie, albo chłód
wieczora,

Czyż to piękną zabawkę wynaleźć zabroni?
 Niechaj się czasem umysł i do gry nakłoni.
 Nie do téj, gdzie aż w północ oczekując nudnie,
 Dręcząc ciało, a wdzięcznie myśli nie zatrudnię.
 Tak zwykle gmin się tylko bawi mało warty,
 Kręcąc skazówki, kości miotając lub karty;
 Kruszec jest grania celem, graczów wabi
 żądza;

Podłość walczy o zyski, ślepy los przysądza.
 Ale czyj duch wznioślejszy, pojętość nie
 słaba,

Takim lepiej rozmyślna przystoi warcaba.
 Z nadkatajskich wzięliśmy tę zabawę granic,
 Przez nią w zbrojne rzemiosło wprawiał się
 Sółtanic; *)

Jak nacięrać, jakimi wycofać się biegi,
 Pouczał się kościane hetmaniąc szeregi;
 Lub do miejsca stósując różnych zdadność
 osób,

S trudnej gry brał trudniejszy królowania
 sposób.

*) Wwarcaby, równie jak szachy, dla nauki monarchów wschodnich wynalezione.

Dziś nie koronna głowa, ni mieczny zabierca,
Ale warcabę czule ulubiły serca.

Hucznych znikając zabaw, nie łakome zysku,
Dzionek na towarzyskiem skracają igrzysku.
Precz od nich z ulicznego wydobyty steku,
Obyczajem i twarzą nieznany człowieku;
Dobrańsza tylko para wychodzi do szranek,
Przyjaciół s przyjacielem, s kochanką kocha-
nek.

Franciszku, sercem czuły, a zimny z urzędu,
Nie znasz miłości, nie masz dla warcab
względu.

Pozwól, niech tobie gry téj prawidła wy-
mienię,

Bo tanitój jedno kiedyś nauczy spojrzenie.

O Wido, gdybym dostał twój pędzel bogaty,
Wido, tak biegle w polskie przestrojony
szaty, *)

Zdarz, niech twojego torem idąc wynalazku,
Opisom mym udzielię powabu i blasku.

*) Szachy poety włoskiego Widy, wzorowie tłumaczone p. Jana Kochanowskiego.

Niech stąd warcaba świeżej nabędzie zacno-
ści,

Niech chwalonym przez ciebie szachom nie
zazdrości;

A mnie niech wdzięcznie czyta ten dla kogo
piszę,

Niech cierpliwie słuchają mili towarzysze.

Wiedźcie tedy, iż gra ta jest bojów obrazem;
Trzeba miejsca, chcąc wojska przeciwne
zwieśćdz razem.

A więc naprzód dla warcab szranki przybierz
świetnie,

Niech je siedem dróg równych z obu stron
rozetnie.

Potém czarne i białe strugaj czworościany,
I w miejscach opisanych rozsadz na prze-
miany.

Kiedy się plac ogrodzi, skreśli i wymierzy,
Nie zaniedbaj do walek przywołać rycerzy.
Dwunastu ma ich jedna, tyleż druga strona;
Że pieszo walczą, pieszków niech noszą
imiona.

By omylek w wojennym tłumie uniknęli,
 Tamci czarny strój mają, ci są całkiem bieli
 A chociaż różni, szaty w różnym noszą wzorze.
 Przecież stają na czarnym z obu stron kolorze.
 Półk chce się z półkiem zetrzeć, trupem usłać
 pole,

Albo żywym broń wydrzeć i zaprzeć w nie-
 wolę.

Każdy na czoło jednym postępując krokiem,
 Nieprzyjaciela swego pilném śledzi okiem;
 Patrzy, czy który rycérz zapędzony w biegu,
 Nie wymknie się choć na krok ze swego sze-
 regu;

A skoro s tyłu za nim próżny plac odkryje,
 Wskoczy nagle i utnie zuchwalcowi szyję.
 Czy wygrana ucieszy, czy pośród pogromu,
 Cofnąć stopy pod karą niewolno nikomu;
 Iść na przód, walczyć, gonić za nieprzyjacielem,
 Wedrzeć się do obozu jest głównym gry celem.
 Kto pierwszy umiał zdobyć przeciwników
 szranki,

Ozdobi się laurowym wieńcem z rąk kochanki;

I jako błędni niegdyś czynili rycerze,
Do boju idąc damę na koń s sobą bierze.
Co wprzód stąpał pieszo, dziś po całym
szlaku,

Wprzód i w tył, wlewo wprawo hasa na
rumaku.

Jeśli mu jaki śmiałek waży się zająć w oczy,
Dopędzi go, zabije i nazad uskoczy.
Tak ów Karól trwożliwy już umykał s tronu
Przed nachodem powstańców i wojsk Al-
bionu,

Ale jak tylko dostał na pomoc Darczanki, *)
Potłumił i Angliki i buntowne Franki.

Odpiéraj więc jak możesz i kładź wszę-
dzie tamy,

Ażeby twój przeciwnik niemógł zdobyć damy.
Jeśli jéj i sam z obcych wziąć nie zechcesz
szyków,

I własną mocą w boju zgnębisz przeciwni-
ków,

*) Jeanne d'Arc.

Wtenczas dla nich prócz straty największa
sromota,

Według praw tracą sławę i paść muszą kota.
Częstokroć wódz w swéjsile zaufany zbyt, nie,
Nie chce rycérki, myśląc iż sam wszystkich
wytnie;

A tymczasem przeciwnik mając pomoc w da-
mie,

Wypędzi go z obozu, doścignie i złamie;
Już wódz chwieje się ranny, miecz upuszcza
z dłoni,

Kochanka nad nim żadnej łezki nie uroni:
Tak, co wprzódzy zwycięstwa karmił się
otuchą,

Umiéra, a co gorsza umiéra na sucho.
Pary więc szukaj gwałtem, lub przez chytne
środki;

W parze miłe zwycięstwo, w parze i zgon
słodki.

Choć przegrasz, mniejszą będzie daleko
przegrana,

Jeżeli grób twój łzami odwilży kochana.

Masz tedy prawa wojny; krótkość je podaje:
Różnych jeszcze narodów znaj różne zwy-
czaje.

Sarmata ufność w samój kładący odwadze,
Woła na cię przed bojem: „zwalczę, lecz
nie zdradzę!”

Stąd piersią w pierś uderza, w tył razów nie
ciska,

Choćby kark nieprzyjazny nadstawiał się
z bliska.

Dama jego podskoków wyprawiać niezdolna,
Równym jak mąż jój krokiem postępuje
z wolna;

Ten tylko urycerskiej wzgląd zyskawszy mło-
dzi,

Że się jój s krwawych bojów ująć bez hańby
godzi.

Hiszpan śmiało uderza na miecze i spiże,
Szczół walczy, lecz okiem i tam i sam strzyże;
Często skradać się lubi śród gwaru, śród pyłu,
I zdradliwie przebija nieprzyjaciół s tyłu;
Stąd w takich bojach nie raz za cięciem bułata,

Dwóch, czterech, pięciu zgladzić potrafi ze
świata.

Gdy zwyciężony padnie, Hiszpan zdarłszy
zbroję,

Cofa się, by łup unieść między półki swoje.
Dama Kastylska w bitwach różnym trybem
stawia:

Nie masz w sięgach zwyczaju wyraźnego
prawa;

Raz chciwa wojennemi ozdobić się łupy,

Staje na bojowisku i obdziéra trupy;

Ale kiedy nad niemi pastwi się okrutnie,

Często pieszek podskoczy i dumny łeb utnie.

Jeśli zaś rzuca martwych i dalej ucieka,

Od nieprzyjaznych szyków stawając zdaleka,

Choć jedna tylko walczy, gęste trupy ściele,

Liczniejsi jój nie mogą zbić nieprzyjaciele.

Francuz staczając walki, naprzód idzie żwawo,

Zabijając w tył, lata i w lewo i w prawo.

Strzelec trafny, nie zważa na damy, na pieszki,

Częstokroć kulą sięgnie aż w sam koniec
ścieszki,

I jeśli mu się kogo położyć udało,
Przez całe szranki wpada do obozu śmiało.
Znając wojska, wybieraj jakieć się podoba;
Jednak muszą się na to gracze zgodzić oba.
Po polsku walczą zwykle celniejsi zasługą;
Bój ten wymaga sztuki i ciągnie się długo;
Pod koniec, kiedy damy tłumnie wjadą
w szranki,
Bardzo trudno przychodzi ścigać jęmościanki.
Gra więc Hiszpańska krótsza, podstępna,
zajadła,
Wielu dzisiejszym wodzom do smaku przy-
padła.
Bardziejniśli do męstwa, do wybiegów zdadni,
Ćwiczą się nieprzyjaciół w chytrąj łowić
matni.
Francuz, że prędko kończy i daleko skacze,
Lubią go tylko młodzi i zuchwali gracze.
Lecz nie dosyć, Franciszku, żeś świadom
obrotów,
Żeś widział wojska, jeszcze do bitwy nie
gotów.

Czyż ten hetman, kto tylko rąbie, strzela, kole?
 Nie; umiej szyki spraywić, umiej poznać pole.
 I w grze są różne miejsca: wskaże moja rada,
 Kiedy je zająć, kiedy strzedz się ich wypada.

Naprzód w prawo jest koniec o podwój-
 nym głazie;
 Młynek to, port bezpieczny w niebezpie-
 cznym razie.
 Tam broń się, choćby na cię bito bez spo-
 czynku;
 Nim ustąpisz, przemoknie krwią droga do
 młynku.
 Jeżeli grasz po polsku, a młynek w twój włości,
 Możesz damy wybornie bronić od napaści;
 Przeciwnie, gdy hiszpanka na placu zostanie,
 Stanąwszy w młynkach, łatwe na nią poło-
 wanie.
 Z lewej strony głaz jeden w koniec szranków
 bodzie,
 Miejsce to zowią beczką: groźne na prze-
 chodzie.

Gdyż jeżeli w nim dama zasiędzie na czaty,
Nabawi pewnie klęski, albo znacznej straty.

Te są w tyle, lecz inne s czola stanowiska,
Kędy na nieprzyjaciół można natrzeć zbliśka.
Iż przyległe granicom, nazwane są kątki,
W nich bitwa często krwawo zwykła mieć
początki,

W nich się kryje kto słaby, lub ostrożny
zbytnie,

I w nich biegły gromiące stawia działobitnie.
Pomnij zrazu je zająć, byś obce rwał skrzydła;
Tak doświadczenie każe, tak walki prawidła
Środkiem gracz najbieglejszy i najgorszy lezie,
Często jest tam zwycięstwo, ale częstsze
rzenie,

Chyba się losem szczęsnym przeciwnik omyli,
Wtenczas możesz mu pieszków w jednej
zrąbać chwili.

Lecz kiedy w kąty wjedzie, zapęd wojska
wstrzyma,

Tak się zaprziesz na środku, iż stąpić gdzie
nie ma.

Ale pocóż szeroko przepisy rozwodzę?
Nie przepisy stanowią zwycięstwo, lecz
wodze.

Oni początkiem bojów, dają bojom prawa;
Od nich zależy cała w warcabach zabawa.

Nie prędko do potyczki bohater przywabi,
Co się powolnie wlecze jak ów togat Fabi.

Nie śmiejąc ni uciekać, ani stawiać czoła,
Wyda rozkazy, znowu wydane odwoła.

To w przód, to w tył pojeżdża, patrzy,
głową kręci,

Myśli, wtém co umyślił wypadło s pamięci;
I przegrawszy nareszcie po rozważach
długich,

Pozna, iż sam się znudził, i nie bawił drugich.
Równie śmieszny, kto drobnych obyczajem
dzieci,

Bez namysłu, bez celu, oślep w ogień leci;
Biją go, jeśli natrze; łowią, jeśli zmyka,
Ginie wreszcie, nie ciesząc zgonem przeci-
wnika.

Ten tylko słusznie wielkie gracza imię bierze,
Kto męstwo i rozwagę w jednej trzyma mie-
rze,

Czyja głowa i ręka z bojem oswojona,
Kto i dobrze umysli i prędko wykona.
A gdzież są tacy gracze? lecz wieszczcy głos
słyszę,

Słowom moim udziela wiary towarzysze;
Franciszek będzie takim, jeśli tylko przyjmie
Ustawy w przyjacielskim nakręślone rymie.

Lecz zacóż go niewolał do stolika ze mną,
Z gry objaśniać naukę, może w pismach cie-
mną?

Gdy mu inni te służby pomniejsze oddadzą,
A jakąż one dla mnie zakazane władzą?
Warcaby, niegdyś moja zabawko ustawna,
Za cóżem niewidziany koło was oddawna!

O ty, dla której wiecznie tajne me zapęły,
Któręj imię pomyśleć, staje się za śmiały,
Tobie spokojność moję, gdy przegrał w war-
caby,

Odtąd już gra ta dla mnie straciła powaby.

Nie dziw, żem toczył zawsze mniej szczę-
śliwe boje,

Tys patrzyła w warcaby, ja w oblicze twoje.
Najdroższego oblicza będąc niedaleki,
I wiecznie chcąc je widzieć, i tracąc na wieki,
Miotany od sprzecznego poruszeń natłoku,
Ból w sercu, w licach bladość, ogień miałem
w oku.

Alem się nadaremnym nie zdradził zapalem;
Westchnienie zatłumiłem, słówka połykałem.
Bo los wynosząc ciebie między jasne rody,
Z samą nadzieją wieczne przykazał rozwoły.
Ustąpię, jęki nawet z głębi niewypadną.
Lecz pamiętam, bo pamięć nie jest mi pod-
władną.

Pamiętam dzień ów grania i szczęścia ostatni,
Gdyś mię i pieszki moje wpędziła do matni.
Odtąd na wieki w jednym porzucone szyku,
Brańcy obok zwycięzców tkwią na mym
stoliku.

Raz tylko śmiałem ulżyć grą długiej żałobie;
Lecz więcej grzechu tego nie pozwolę sobie;

Bo twoja oczywiście sstępująca postać,
Kazała grze pocztęj nietknioną pozostać.
Franciszku, czy litości, czyli deznam

wiary,

Czy to bóstwo, czy zmysłu popsutego czary,
Z uniesieniem widzący, a niechętny badać,
Nadludzkie tobie cudo muszę wypowiedać.
Pomnisz, jak przeraźliwych strat odniósłszy
rany,

Z jęj obecności, z waszēj pociechy obrany,
Całe dni pustelnicza więziła mię klatka,
Wielu niespanych nocy dotrwałem ostatka.
Raz gdy już światel lampa konająca skąpi,
Nagle się gęstwa cieniu koło mnie rozstąpi,
Wzrok osłupiał i myśli splątały się tłumnie;
Alie jasny powietrzem anioł splywa ku mnie.
Boże! to jęj twarzyczka, jak poranek błada,
Włos na szyję srebrnymi promykami spada,
Chmurka jęj przezroczysta za sukienkę służy,
Czerwieniejąc u piersi obwiązkami róży;
Widziałem ją, jak ciebie oglądam na jawie;
Widziałem ją w codziennėj obecnej postawie,

Tylko mającą bardziej jasności do koła,
Więcej boską; bo więcej piękną być nie zdoła.
Ku stolikowi potem przysłiznęła kroku,
Spotkaliśmy się okiem, cały byłem w oku;
Sercem tak blisko serca i licem do lica,
Szczupła nas rozdzielała tylko warcabnica.
Odtąd już wielokrotnie w przedporanne cienie,
Bóg jest łaskaw podobne ssyłać mi widzenie;
Zawzdy około warcab pobawi się zbliżka;
Lecz nie chce, abym graniem zmienił stano-
wiska;
Snadź odbóstwa sprawionych orszaków i bloni,
Dotykać skazitelnój nie godzi się dłoni.
Tak gra musiała dla mnie wszelki powab zgubić.
Franciszku, jeśli dłużej chcesz warcaby lubić,
Na spółbliżnich uzyskuj tryumfalny wianek,
Nigdy nie wyzywając do boju niebianek.
Pomnij, że kto ośmielił na Paśią dłonie,
Tydejczyk rychło zbrzydził szeregi i bronie.
A ja, com niegdyś smutki rozweselał cudze,
Teraz smutny was mijam, lub uczeniem nudzę.

PRZYPOMNIENIE.

S O N E T.

Lauro! czyliż te piękne wieków naszych lata
Jeszcze się kiedy twojej malują pamięci?
Kiedyśmy sami tylko i sobą zajęci,
Dbać nie chcieli o resztę obcego nam świata.

Chłodnik, co się zielonym jażminem wypłata,
Strumień, co z miłym szmerem po łące się
kręci,

Tam nas często wzajemne tłumaczących
chęci,

Późnej nocy miłosna osłoniła szata.

A kiedyś pod bladego wyjrzałwszy obłoku,
Śnieżne piersi i złote rozświecał pierścienie,
Boskiego wdziękem twoim przydając uroku.

Wtenczas serca porywa słodkie zachwyce-
 Usta się spotykają, oko ginie w oku, (nie,
Że ze łzą, i z westchnieniem miesza się
westchnienie!

SPIS RZECZY ZNAJDUJĄCYCH SIĘ W TOMIE I.

BALLADY I ROMANSE

Strona.

PIERWIOSNEK	3.
ROMANTYCZNOŚĆ	6.
ŚWITEŻ	10.
SWITEZIANKA	20.
RYBKA	28.
POWRÓT TATY	35.
KURHANEK MARYLI	40.
DO PRZYJACIÓŁ, POSYŁAJĄC IM BALLADĘ TO LUBIE	47.
TO LUBIE	49.
RĘKAWICZKA (z Szyllera)	57.
PANI TWARDOWSKA	60.

TUKAJ, Ballada I	67.
TUKAJ, Ballada II.	74.
LILIE	82.
DUDARZ	98.

WIĘRSZE RÓŻNE.

HYMN DO N. P. MARYI	111.
ŻEGLARZ	113.
WARCABY	116.
PRZYPOMNIENIE, Sonet	134.



200,





BG0159857

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
W POZNANIU



1330883